

W namalowanych okruchach wspomnień - malarstwo Artura Struzika



**KIERAT ze startem i metą w Limanowej
przeszedł do historii**

Profesor Józef Kucharski nie żyje

**Dr Mieczysław Mycoń, chirurg, żołnierz AK,
pionier limanowskiej służby zdrowia**

**Początki służby zdrowia w Limanowej
- w 70. rocznicę powstania szpitala**

Wspomnienia

Alicji Łuka z domu Wrona cz. 2

Stacja macierzysta Limanowa

Pierwszy wodociąg w Limanowej

Spełnione obietnice

**W cieniu Mogielicy - 5 lat Stowarzyszenia
Rekonstrukcji Historycznych 1PSP AK**



Trzynaście lat Ekstremalnego Maratonu Pieszego KIERAT

Fotografie: archiwum Maratonu KIERAT





KIERAT ze startem i meta w Limanowej przeszedł do historii

Stanisław Ociepka

Ekstremalny Pieszy Maraton „Kierat” organizowany przez 13 lat w Limanowej przeszedł do historii. „Echo Limanowskie” od samego początku (2004 r.) sprawowało medialny patronat nad tą imprezą.

W każdym roku publikowaliśmy obszerny artykuł ukazujący tę trudną ale jakże istotną dla promocji naszego miasta, sportową rywalizację, w której w trzynastu edycjach uczestniczyło 5456 zawodników z całej Polski a także zagranicy.

Do tej pory nie zorganizowano tak ważnego wydarzenia sportowego, które by na tak szeroką skalę promowało Limanową, powiat limanowski, a przede wszystkim Beskid Wyspowy.

W ostatnich tygodniach limanowianie dowiedzieli się, że maraton ten został przeniesiony do Słopnic. Zapewne ta zmiana miejsca startu i mety nie uszczupli propagowania wartości turystycznych zarówno powiatu limanowskiego jak i Beskidu Wyspowego, ale co z Limanową, która zepchnięta została na rogatki tej imprezy?



► Na stronach internetowych można było odnaleźć polemiczne wypowiedzi odnoszące się do decyzji zmiany miejscowości organizacji „Kieratu”. Nie zamierzam dołączać się do tej dyskusji. Jedno jest pewne: Limanowa potrzebuje różnych form promocji. Zapewne skuteczna promocja miasta na ogólnopolskim forum nie jest zadaniem prostym i tanim. Międzynarodowy Ekstremalny Maraton Pieszy „Kierat” był tą imprezą, która świetnie promowała Limanową w skali ogólnopolskiej. Jeżeli jeszcze dodamy, że organizacja tej imprezy była dziełem zespołu ludzi pracujących społecznie, kochających ten rodzaj uprawiania turystyki, to można tylko powiedzieć: Szkoda, że nie pielęgnuje się w Limanowej tak z trudem rodzącego się społeczeństwa obywatelskiego.

My zaś, dla Czytelników naszego dwumiesięcznika, przygotowaliśmy wybrane wspomnienia z tych 13 edycji „Kieratu” oraz reportaż fotograficzny ukazujący walory tego maratonu.

W numerze 118-119, z lipca-sierpnia 2004 roku „Echo Limanowskie” donosiło: *„W dniach 14-16 maja Limanowa gościła uczestników niezwyklej imprezy. Z różnych stron Polski zjechali miłośnicy turystyki górskiej, aby wziąć udział w maratonie „Kierat – 2004”. 100 km nieprzerwanego marszu po górach Beskidu Wyspowego i 3000 m podejść w ciągu 30 godzin okazało się trudnym wyzwaniem, ale znalazła się grupa odważnych, którzy postanowili mu sprostać”*.

W pierwszym maratonie wystartowało 18 zawodników, ukończyło pięciu. Zwycięzcami ex aequo byli: Krzysztof Dołęgowski i Jerzy Kryjomski, który na mecie powiedział: *„Brawa i uznania dla Andrzejów: Sochonia (pomysłodawcy i sędziego Rajdu) i Piławskiego (kierownika) za kawał solidnej roboty. Dodam jeszcze o miłej atmosferze podczas całego Rajdu (ach ta kawa ze śmietaną w środku nocy). I jeszcze jedno; rajd bez nagród, a może dać tyle satysfakcji”*.

Rekordowym „Kieratem” okazała się jego XI edycja w 2014 roku. Wystartowało wówczas 717 zawodników z ponad 140 miast i miasteczek Polski. Do mety dotarło 417 osób, w tym 31 kobiet.

Jeden z uczestników maratonu tak relacjonował swój udział w tych zawodach: *„Czy jako miłośnicy gór zastanawialiście się kiedyś, że przyjdzie Wam w jeden dzień przebyć połowę Beskidu Wyspowego i połowę Gorców? Może ten*



pomysł wydawał się bez sensu ze względu na nudę lub brak motywacji z powodu długości trasy? Aby to zmienić, wystarczy wystartować. W „Maratonie Kierat” – start w zawodach nadaje sprawie sens i cel, a to, że do momentu rozpoczęcia maratonu nie wiemy, gdzie zaprowadzi nas architekt trasy, dodaje dodatkowego smaku przygodowego” – pisaliśmy o tym w „Echu Limanowskim nr 238-239, lipiec – sierpień 2014 roku.

W jubileuszowym X Maratonie Kierat – 2013 wspominaliśmy śp. Tomasza Kowalskiego, który zginął tragicznie podczas wyprawy zimowej na Broad Peak – 8047m n.p.m. w Himalajach.

Swoje szlify górskie doskonalił m. in. podczas Pieszego Maratonu „Kierat”.

W numerze 226-227, „EL” z 2013 r. przedstawiliśmy Jego wspomnienia z uczestnictwa w VIII edycji maratonu w 2011 roku, gdzie pięknie opisuje trudy napotkane na trasie i zgodną współpracę z Agnieszką, która startowała po raz pierwszy na tak długim dystansie, do tego od razu w górach. Zajęli wówczas 24 i 25 pozycję z czasem 18 godzin 4 minuty na 578 startujących. Agnieszka, że przybiegła jako czwarta kobieta, otrzymała puchar i tytuł drugiej wicemistrzyni w mistrzostwach Polski pieszych maratonów na orientację. Na koniec swoich wspomnień tak napisał: „Sklamałbym gdybym napisał, że jestem zadowolony z wyniku. Nie ma sensu zastanawiać się, co by było, gdybym ścigał się od samego początku. Udowodniłem sobie tylko, że przebiegnięcie 100 kilometrów nie musi wiązać się z bólem i cierpieniem, ale może być zaskakująco przyjemnym doświadczeniem. Dzięki wszystkim znanym i nieznanym osobom spotkanym na trasie za wspólną walkę i niezłą zabawę. Za rok wracam i walczę o pudło”.

Niestety Tomasz Kowalski nie przyjechał na IX Edycję „Kieratu” w roku 2012, zapewne pochłonięty był przygotowaniem do wyprawy w Himalaje. W następnym roku tam zginął.

Wróćmy jeszcze do V edycji „Kieratu”. W obszernym artykule opublikowanym w „Echu Limanowskim” (nr 166-167, lipiec-sierpień, 2008 r.) zatytułowanym „Okiem kibica i nie tylko” napisanym przez prof. Andrzeja Kuligę, limanowianina z urodzenia, uczestnika wielu wypraw górskich, mogliśmy się dowiedzieć o idei zorganizowania maratonu w warunkach górskich oraz historii powstania „Kieratu”, a także związkach z Limanową



Andrzeja Sochonia, pomysłodawcy i sędziego głównego tego maratonu.

Panowie: prof. Andrzej Kulig, pracownik naukowy Politechniki Warszawskiej i Andrzej Sochoń, architekt tras „Kieratu”, spotkali się w Warszawie, aby szczegółowo wyjaśnić limanowskim Czytelnikom wszystkie niuanse związane z tym pieszym wędrowaniem 100 km po górach Beskidu Wyspowego.

Pan prof. Andrzej Kulig swój artykuł zakończył akapitem: „Pragnę podkreślić, że maraton pieszy „Kierat” to doskonała promocja ludzkich możliwości. Przekonuję się o tym, czytając relację uczestników rajdu, w których jest bardzo dużo pozytywnych emocji. Jak wielkie są to możliwości, pokazują nam np. Paweł Urbański, niewidomy student z Gdańska, który w lutym 2008 r. zdobył Kilimandżaro, czy niepełnosprawny Janek Mela, zdobywca obu biegunów Ziemi. A to, że promocja ludzkich możliwości jest konieczna, dostrzegam obserwując studentów z determinacją godną większej sprawy czekających na przejazd windą z 5 na 7 piętro.

„Kierat” to także promocja regionu, w szerokim znaczeniu tak modnego obecnie PR – Public Relation.

W pamięci setek ludzi i na kilku stronach internetowych jest to wspaniała wizytówka walorów turystycznych Beskidu Wyspowego i ludzi związanych z Ziemią Limanowską”.

Międzynarodowy Ekstremalny Pieszy Maraton „Kierat”, to zjawisko o wielu aspektach. Pisali o tym uczestnicy maratonu, a także jego twórca i sędzia główny Andrzej Sochoń.

Oto niektóre wybrane myśli:

(...) „nie jest najważniejsze, czy będziesz pierwszy na mecie, ale czy uda ci się pokonać własne słabości”.

(...) „cieszymy się, że mieliśmy przyjemność brać udział w takiej ekstremalnej imprezie, za co serdecznie dziękujemy organizatorom”.

(...) „zupełnie przemoczeni, zmarznięci i obolali, po 28 godzinach i 2 minutach wędrowki stawiliśmy się w bazie zawodów, a kolejny „Kierat” przeszedł do historii – to piękne”.

(...) „Ekstremalny Maraton Pieszy „Kierat” jest wspaniałą wizytówką walorów turystycznych Beskidu Wyspowego i ludzi związanych z Ziemią Limanowską”.

Relacjonując kolejny XIII Międzynarodowy Ekstremalny Maraton Pieszy („EL” nr 262-263, lipiec-sierpień 2016 r.) na zakończenie artykułu napisałem: „Niepokojącym jest to, iż podczas tegorocznego zakończenia maratonu słyszało się, że był to ostatni „Kierat” w Limanowej. Myślę jednak, że do maja przyszłego roku jest sporo czasu i pogłoski te jednak nie będą zrealizowane. W przeciwnym razie byłaby to wielka strata dla promocji naszego miasta”.

Niestety nikt wówczas tych uwag w Limanowej nie potraktował poważnie i po sześciu miesiącach od ukazania się tej przestrogi nagle podniesiono wielkie larum. Było już za późno.

Szkoda, że nie zareagowano we właściwym czasie i nie doszło do porozumienia!

Fotografie: arch. Maratonu KIERAT

W namalowanych okrucach wspomnień – malarstwo Artura Struzika

Stanisław Ociepka



Artur Struzik w czasie pracy - 2006 rok.

Przeszło dziesięć lat temu ukazał się w „Echu Limanowskim” (nr 138, marzec 2006 r.) artykuł Iłony Machowicz-Jurowicz, zatytułowany: „Zatrzymać chwilę...” poświęcony malarstwu Artura Struzika, wówczas emerytowanego nauczyciela i byłego dyrektora ZSME, który wzorem impresjonistów przy pomocy pędzla starał się „zatrzymać chwilę”, uchwycić jej piękno i niepowtarzalność.

Malował bardzo często starą Limanową z archiwalnych fotografii, pejzaże, konie, a także portrety, najczęściej członków rodziny.

Oto niektóre myśli Artura Struzika przekazane podczas rozmowy dziennikarce „Echa Limanowskiego”. (...) „Impuls do malowania dali moi najbliżsi. Rodzina podarowała mi sztalugi. Ten oryginalny prezent skłonił mnie do powrotu do młodzięcych zainteresowań, kiedy jako licealista, pod kierunkiem Tadeusza Ociepki uczyłem się rysunku i malarstwa”.

(...) „Możliwość doskonalenia nabytych umiejętności plastycznych dały mi szansę na realizację siebie poprzez tworzenie dekoracji okolicznościowych oraz scenografii dla Teatru Amatorskiego, prowadzonego przez Stefana Ociepkę na przełomie lat 40. i 50. ubiegłego stulecia”. Dalej mówił: (...) „Profesorowi Tadeuszowi Ociepcze zawdzięczam umiejętność kopiowania; pod jego kierunkiem

wykonałem m.in. kopię Stryjeńskiej. Nauczyciel ten zaszczylił mi również miłość do twórczości Wyspiańskiego, która do dziś pozostaje jedną z najważniejszych źródeł inspiracji”.

Na zakończenie rozmowy stwierdził: (...) „Tworzenie pochłania coraz więcej mojego czasu. Odczuwam radość, gdy prace podobają się rodzinie, przyjaciołom i znajomym. Daję obrazy w podarunku, aby „cieszyły oczy” i przypominały o mnie”.

Kiedy w 2008 r. zrodził się pomysł opracowania albumu o Limanowej na starej fotografii, był bardzo z tego faktu zadowolony. Wówczas uznałem, iż przy opracowaniu tego albumu nie może zabraknąć osoby, która związana była od urodzenia z miastem i miała o nim bogatą wiedzę.



Artur Struzik w plenerze (w ogrodzie Antoniego Mamaka) w czasie Międzynarodowego Pleneru „Sztuka nie zna granic” - 2010 rok.

Od tego czasu dość często spotykaliśmy się. Był świetnym konsultantem, ułatwiało to opis fotografii do albumu, szczególnie tomu II. Podczas tych spotkań wiele wspominał o dawnej Limanowej oraz o swoim zamiłowaniu do malowania. Podczas jednego ze spotkań podarował mi przez siebie namalowany obraz. Obraz przedstawia fragment starego „Kamieńca”

(dziś ulica Kilińskiego), gdzie w dzieciństwie się wychowałem. Pan Artur również związany był z tym rejonem Limanowej, gdyż w pobliżu był jego rodzinny dom.

Starał się być aktywnym w dziedzinie malarstwa.

W roku 2010 uczestniczył w 10 – dniowym Międzynarodowym Plenerze „Sztuka nie zna granic” realizowanym w ramach współpracy Limanowej z Dolnym Kubinem, Słowacja. Warsztaty malarskie odbyły się m. in. w ogrodzie p. Antoniego Mamaka. Efektem tych warsztatowych prac była wystawa w Muzeum Regionalnym. W folderze przygotowanym z tej okazji o Arturze Struziku mogliśmy przeczytać: *„Limanowianin, absolwent Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego w Krakowie. Wychowanek Tadeusza Ociepki – limanowskiego impresjonisty. Były dyrektor ZSME w Limanowej. Na emeryturze oddał się pasji malarstwa. Jako, że nie lubi monotonii zarówno w życiu jak i w sztuce to tematyka Jego obrazów jak również techniki, którymi się posługuje są różnorodne”.*

Niestety choroba utrudniała mu bycie aktywnym, a przede wszystkim ograniczała mu realizację jego pasji, jakim było malowanie.

Po raz ostatni widzieliśmy się w Limanowskim Domu Kultury w 2011 r. w czasie promocji albumu „Okruchy pamięci”. Przyszedł z rodziną i był do końca wieczoru promocyjnego, jakby czuł, że jest to jego ostatnie publiczne spotkanie z mieszkańcami Limanowej, dla której pracował całe swoje życie. Odebrał tego wieczoru II tom albumu fotografii o Limanowej, jego rodzinnym mieście, któremu poświęcił swoje zdolności i umiejętności, wkładając wiele wysiłku i zaangażowania zarówno w pracę zawodową jak i społeczną.

Dobrze więc, że po przeszło pięciu latach od śmierci Pana Artura Struzika, w Galerii Sztuki w Limanowej, zorganizowana została wystawa, przypominająca o Jego malarskiej pasji.

W wydanym z tej okazji okolicznym folderze mogliśmy przeczytać:

„Co w pracach Artura Struzika wzrusza, to prostota połączona ze szczerością uczuć, prawda kolorów i kształtów ukazana w namalowanych okrucach wspomnień”.

Fotografie: arch. „Echa Limanowskiego”

Reportaż zdjęciowy z wystawy Artura Struzika na stronach: 34-35



Praca powstała w czasie Międzynarodowych Warsztatów „Sztuka nie zna granic”.

Profesor Józef Kucharski nie żyje

Hrubieszów. Położone blisko Bugu w Lubelskiem miasto rodzinne Bolesława Prusa, a wcześniej, od 1816 r rozslawione założoną przez Staszica, jako Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie, pierwszą w kraju spółdzielnią, która przetrwała do roku 1945. Przed wojną stacjonował tu II Pułk Strzelców Konnych, w 1939 krwawo zasłużony w bitwach pod Mokrą, Kamieńskiem czy Kruszewem.

– *Przed wojną najwyższą klasę towarzystwa stanowili starosta, dowódca pułku i dyrektor gimnazjum, oczywiście ówczesnego, co świadczyło o społecznej randze jaką wtedy miała oświata. A miasto zamieszkiwali Polacy, trochę Rusinów i w dużej liczbie Żydzi. Wszyscy żyli w zgodzie; mój ojciec był szewcem, a jego klientami Żydzi. Bywali często, szanowali go i zdarzało się, że był zapraszany na ich wesela i chodził tam.*

W 1939 r. miałem 11 lat i musiałem szybko dorosnąć, by żyć i umieć ratować życie. Nie masz pojęcia jak szybko się człowiek uczy w skrajnych warunkach!

Tak mi o swym dzieciństwie opowiadał po latach p. Józef Kucharski, gdy byliśmy już kolegami w pracy.

A w Hrubieszowie widział jeszcze drastyczne sceny eksterminacji Żydów, za Bugiem łuny płonących polskich wsi, potem też w odwecie ukraińskich. A w 1944 wywieziony został na roboty do Niemiec. Po zakończeniu wojny wracał do kraju na skombinowanym skądś rowerze, w plecaku miał schowane zdjęte opony i jechał na samych obręczach, by mu Ruscy roweru nie zarekwirowali. Dobry asfalt niemieckich dróg czynił jazdę mniej dokuczliwą.

Chodząc do tzw. Szkoły Ćwiczeń przy Liceum Pedagogicznym, znałem prof. Kucharskiego z widzenia już wcześniej, osobiście poznałem, gdy do owego liceum zostałem przyjęty. Zwracał uwagę energicznym sposobem poruszania się, ale przede wszystkim elegancją ubioru. Spodnie zawsze wyprasowane w ostry kant, o który, mówiono wtedy, „much się przetnie”. A trzeba przypomnieć, że były to czasy przed zastosowaniem tkanin ze sztucznymi dodatkami – żeby taki kant utrzymać, spodnie należało prasować właściwie codziennie. To budziło szacunek. Ale nie tylko to. Trzeba powiedzieć, że za moich czasów uczniowskich fizyka, której nauczał profesor, budziła grozę. Lekcje, prowadzone interesująco – czy te teoretyczne, czy metodą doświadczalno – pogładową – angażowały uwagę, tym bardziej, że prowadzący miał do tematu stosunek emocjonalny. Wymiar godzin fizyki był większy niż dzisiaj, więc z materiałem „do przerobienia” nie trzeba

było się tak spieszyć. Tak więc następowały po sobie dwie, trzy, rzadziej cztery lekcje jak wyżej i jedna cała poświęcona na odpytywanie. Pały leciały peletonem, bo lekko nie było – trzeba było się naprawdę wykazać myśleniem i wiedzą, także tą ogólną z zakresu nauk ścisłych. Ci, którzy w podstawówce nie opanowali na pamięć wszystkich podstawowych praw, jednostek miary etc. etc. musieli to błyskawicznie nadrobić. Ale i nie za to na fizyce można było zaliczyć gola.



Józef Kucharski (1928-2016)

– Jak?! Jak powiedziałeś?
– Ruła (oczywiście, chodziło o „rurę”).
– Ty przyszły nauczyciel jesteś. Siadaj, dwójka!

Więc człowiek starał się i na fizyce nie zapominać o szacunku dla ojczyzny polszczyzny.



Wigilia w „Ekonomie” 1996 rok.

A dzisiaj coś takiego? Nie do uwierzenia. Mam na myśli dzisiejszy przerost pojęcia „podmiotowości” uczniów – u uczniów i ich rodziców.

Dlatego dodam jeszcze jedno. Bywało, że delikwent po odpytaniu wracał na miejsce na ugiętych nogach, czerwony i spocny, ale nigdy nie jak skopany pies. Jeśli poniżony, to ze świadomością, że przez samego siebie. Sam tego doświadczyłem i wiem, co mówię (piszę) A końcowe bardzo dobry z fizyki – ja (z lenistwa) noga z matematyki – uważam za jeden z największych sukcesów w edukacji.

Po latach wielu, gdy już obydwa z prof. Kucharskim pracowaliśmy w „Ekonomie”, poprosił mnie zniemacka do udziału w komisji egzaminu poprawkowego, „zamówiony” fizyk z innej szkoły się nie zjawił, termin naglił. W tamtych czasach należało przy takim egzaminie też się jakoś czynnie włączyć. Spróbowałem każdemu ze zdających zadać pytanie o sprawy bardziej praktyczno-doświadczone, pilnie obserwując wyraz twarzy profesora.

Po egzaminie pogratulował mi – Tyle z fizyki zapamiętać!

– Miało się dobrego nauczyciela – odpowiedziałem bez fałszywego schlebienia.

Dobrego nauczyciela także dlatego, że uczył myślenia i racjonalnego stosunku do idiotyzmów otaczającego świata. W tym się uzupełniali z prof. Andrzejem Trystułą, matematykiem, który jednak w limanowskim LP nauczał chemii. I fascynował oryginalnym humorem – Te lekcje strasznie w przerwach przeszkadzają! Profesor Kucharski też na deficyt dowcipu nie cierpiał. A obaj lubili się i gdy dorobili się jakichś samochodopodobnych urządzeń „made in demolud”, wspólnie wyprawiali się w wakacje nad Morze Czarne. A potem jeździli także po Polsce, która okazywała się niemniej ciekawa.

– *Niedrogo wychodzi. Pomyśleliśmy, kto nauczycielom pomoże, jak nie sami nauczyciele? Sprzęt do spania mieliśmy ze sobą, w każdej wsi jest szkoła, w której da się przespać na podłodze. A ile radości czasem przy tym było! Zajeżdżamy gdzieś na ścianie wschodniej pod wiejską szkołkę. Zamknięte. Więc pytamy zaciekawionych naszym „najazdem” dzieci – Już, już będzie! Pognały gdzieś i po chwili biegnie z pola w gumiakach jakiś chłop-nauczyciel zaalarmowany, że aż dwa auta zajechały. I oczywiście nigdzie nam gościny nie odmówiono.*



Józef Kucharski w Olsztynie z synem Jarosławem i Jerzym Trystułą - syn przyjaciela Kucharskiego.

Był moim kolegą w pracy, ale i przez ponad 10 lat jako zastępca dyrektora również moim szefem, Bardzo taktownym i zrównoważonym, chyba rozumiał, że o ile naczelny na to i owo wobec podwładnych sobie czasem pozwoli (bo tak przecież bywa) to zastępca nie jest od zaogniania sytuacji, a przeciwnie jakiegos jej łagodzenia. Będąc później na podobnym stanowisku, starałem się w tym dyrektora Kucharskiego naśladować. Pamiętam też omawianie hospitowanych przez niego lekcji, zawsze wychwytywał z nich to co najistotniejsze, oceniał kwestie merytoryczne, nie czepiał się jakichś niedoróbek biurokratycznych. Inna rzecz, że ówczesna biurokracja nauczycielska to było piszczące maleństwo w porównaniu z dzisiejszą.

Był ostatnim z żyjących pedagogów mojego szkolnego rocznika 1959 – 1964. Wszyscy pozostali odeszli na zawsze wcześniej, niektórzy dużo wcześniej. Posiwili jego uczniowie z dawnego „Pedagoga”, a pewnie i co starsi absolwenci „Ekonomi”.

Niech pozostanie w pamięci, bo za cny był człowiek.

I skromny w byciu na co dzień. Stąd choćby wynikała wielka trudność w zdobyciu jego fotografii, po prostu podczas wszelkich uroczystości starał trzymać się gdzieś na boku.



Józef Kucharski z małżonką przed LDK w Limanowej w czasie Jubileuszu Liceum Pedagogicznego w 2010 r.

A wspominając profesora, przypominam sobie jedną z licznych sentencji, jakimi się z nami dzielił, by poprawić nastrój. Ta jest mądrością żydowską:

„Życie jest piękne – ale drogie. Mogłoby być tańsze – ale już nie tak piękne.”

I za to także profesorowi dziękuję.

Fotografie: arch. rodziny Kucharskich

Pożegnanie ORKANOWCA Jana Jarosika

„Chciałbym i mój ślad na drogach ocalić od zapomnienia”

K. I. Gałczyński

21 grudnia ubiegłego roku odszedł nagle w bezpowrotną drogę mieszkający w Bydgoszczy nasz serdeczny kolega, przyjaciel i druh Jan Jarosik - absolwent tutejszego Liceum Ogólnokształcącego z r. 1951, wierny Syn Ziemi Limanowskiej - ORKANOWIEC, jak sam siebie i nas kolegów nazywał.

To wspaniały człowiek. Wszystko, co osiągnął w życiu, zawdzięczał swym zdolnościom, wytrwałości i rzetelnej pracy. Rodzice, chociaż bardzo chcieli, nie byli w stanie mu pomóc. On jednak, jak sam wiele razy podkreślał, był twarym górale, „zacisnął zęby” i doszedł do zaplanowanego celu.

Mimo kłód, które rzucało mu życie, ukończył z bardzo dobrym wynikiem studia w Politechnice Gdańskiej i jako inżynier podjął pracę w Bydgoskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego „Pomorze”.

Z nim związał swoje całe zawodowe życie.

Pracowity i odpowiedzialny szybko awansował, wprowadzał na budowach innowacyjne pomysły obniżające koszty,

a równocześnie poprawiające standard inwestycji, co docenili m.in. Szwajcarzy pracujący z nim przy budowie Cementowni i Kombinatu Cementowo - Wapniowego „KUJAWY”.

To godne podkreślenia, że skromny uczeń limanowskiego Liceum, wychowanek p. prof. Józefa Staniszewskiego, członek samorządnie założonego w 1947 r. kółka matematycznego, tak zaznaczył „swoje ślad” na polskich i nie tylko polskich drogach, że można długo wymieniać jego dokonania.

Przypomnę tylko niektóre prowadzone przez niego inwestycje w Polsce i za granicą.

W Polsce:

- Zakłady MAKRU M w Paterku k. Nakła (zakłady budowy pieców obrotowych dla Cementowni),
- Zakłady „SPOMASZ” w Żninie,
- piekarnia o wydajności 25 ton pieczywa na dobę w Bydgoszczy,
- Lotnicze Zakłady Remontowe w Bydgoszczy,
- budynki mieszkalne dla pracowników własnego zakładu i dla szpitala,



Jan Jarosik (1931-2016)

- dom wypoczynkowy dla pracowników zakładu w Ustce.

Za granicą:

- Przepompownia „NEWEL” ropociągu Surgut w Turiczynie (100 km od Połocka),
- Przechowalnie warzyw we Wschodniej Ukrainie - w Świerdłowsku, Krasnodonie i Antracycie,
- Krochmalnia dla wojska w Kasinowie nad Oką,
- Hotel „Leningrad” (Bułgaria) z zapleczem w Wampierowie.

To tylko najważniejsze z dokonań naszego „Janka”, który cokolwiek robił, myślał o tych, którzy będą z pracy Polaków korzystali, o ich bezpieczeństwie i zadowoleniu.

W czasie pracy w byłym Kraju Rad usilnie szukał śladów polskości szczególnie na Kresach i Syberii. Dzięki niemu wielu Polonusów wcześniej wysiedlonych ze swoich domostw otrzymało pomoc z dalekiej Ojczyzny.

Redaktorowi Auguścikowi, który szukał materiałów do cyklu „Reportaży z Kresów” pomagał je zgromadzić, a potem dostarczyć do kraju w bagażach



Pierwszy zjazd koleżeński - czerwiec 1956 rok. Przed budynkiem szkoły stoją od lewej: Jan Jarosik, Zofia Puch (Bieda), Stanisław Drożdżak, Waleria Milewska (Bulanda), Mieczysław Sułkowski, Halina Gleń (Zembaty), prof. Józef Staniszewski, Maria Czyżewska (Smaga), dyrektor Wilhelm Tabor, Józef Paruch, Zofia Wójtowicz (Wiśniewska), Apolinary Lach, Anna Wierzycka.

robotników i przewożonym sprzęcie, co było przedsięwzięciem bardzo niebezpiecznym, ale na szczęście się udało.

Otaczał wielką troską pracującą z nim żalogę. Starał się przekazać jej wiedzę historyczną o przeszłości „niehumanitarnej ziemi”, o której w tym czasie nie podawano prawdy żadne powojenne podręczniki. Przebywając z nim żalodze organizował czas „po pracy”, by nie wpadła w zgubne nałogi, o co z daleka od rodziny bardzo łatwo. Organizował rozgrywki sportowe, wyjazdy turystyczne, sprowadzał grupy artystyczne, aby odciąć od cywilizacji ludzie mieli jakąś rozrywkę. Na pokrycie kosztów przyjazdu artystów przeznaczał dodatkowo wypracowane środki finansowe. Sprowadzał z kraju książki i prasę.

Gdy pracował w Polsce, starał się wygospodarować w swoim kalendarzu czas na pracę z dorastającą młodzieżą. Sam sportowiec organizował dla niej (szczególnie w Bydgoszczy) regaty, kursy szachowe, mecze piłki nożnej i ręcznej. Podkreślał, że w czasie zajęć z młodzieżą

najlepiej wypoczywa. Sportem zajmował się od zawsze. Chciał nawet podjąć studia z tego zakresu, ale „ciągoty” budowlane przeważały.

Był nadzwyczajnym człowiekiem bardzo otwartym na potrzeby innych, Polakiem - patriotą, dla którego Ojczyzna „stała” ponad wszystko. Szczególnym uczuciem darzył swą Małą Ojczyznę - Ziemię Limanowską, o Niej myślał, Nią żył.

Gdy był w kraju, uczestniczył w naszych koleżeńskich zjazdach, prezentował slajdy, zdjęcia i dzielił się swymi spostrzeżeniami.

Tak było aż do chwili, gdy stało się ogromne nieszczęście. Okuliści popełnili błąd, w wyniku którego stracił wzrok i to pozbawiło go możliwości samodzielnych wyjazdów. Mimo tej tragedii poukładał sobie dalszą egzystencję, pozostał pogodnym człowiekiem i tą pogodą przyciągał otoczenie. Nauczył się pisać na specjalnej maszynie z wypukłymi literami i prowadził szeroką korespondencję nie tylko „z naszą paczką” absolwentami z 1951

roku, ale z wielu innymi osobami m.in. członkami Związku Polaków w Wilnie.

Często rozmawiał z nami telefonicznie, pamiętał o świętach i uroczystościach rodzinnych każdego z nas. W czasie naszych koleżeńskich spotkań, w których już nie uczestniczył, dzwonił do nas o określonej godzinie i rozmawiał z każdym z obecnych.

Miał wspaniałą pamięć i umiał być wdzięczny za okazane mu serce. Trudno przyjąć do wiadomości, że już nigdy nie usłyszymy Jego dźwięcznego głosu - Witajcie ORKANOWCY - to ja, Wasz JANEK.

*Żegnaj Druhu, Kolego i Przyjacielu,
Żegnaj zacy Synu Ziemi Limanowskiej,
Będzie nam Ciebie bardzo brakowało.*

**Koleżanki i koledzy
Absolwenci LO z 1951 roku**

Karol Wojtas

Zabytkowy Reper w Limanowej i Mszanie Dolnej

W tym niewielkim artykule czytelnikom „Echa Limanowskiego” przedstawiona zostanie ciekawostka związana z dwoma zachowanymi do dziś na Ziemi Limanowskiej zabytkowymi reperami, które są relikwiami epoki, gdy do oznaczania wysokości nad poziom morza nie używano GPS i elektronicznych przyrządów pomiarowych. Repery te w Limanowej i Mszanie Dolnej mijają codziennie wiele osób i mało kto zwraca na nie uwagę. Jeśli już zwróci uwagę przechodnia to „coś” to i tak prawie nikt nie wie, co to jest? Mam nadzieję, że ten artykuł co nieco wyjaśni czytelnikom. Szczególnie młodym, którzy od urodzenia mają dostęp do telefonów komórkowych czy Internetu. Gdy na przykład wychodząc na wycieczkę w góry staną na szczycie, to uruchamiają odpowiednią aplikację na komórce i już wiedzą, jak wysoko nad poziom morza się znajdują. A dawniej jednak to inaczej wyglądało.

Co to jest reper?

Dla czytelników, którzy chcą poznać definicję czym jest reper i czemu służył, poniżej oficjalna podręcznikowa definicja.

Reper jest to trwale stabilizowany znak geodezyjny osnowy wysokościowej o określonej rzędnej wysokościowej w przyjętym układzie odniesienia. Repery wykorzystywane są do wykonania niwelacji podczas przeprowadzania pomiarów geodezyjnych i są fizyczną realizacją państwowej osnowy wysokościowej. Repery

są punktami wchodzącymi w skład ciągu niwelacyjnego.



W osnowie wysokościowej wyróżnia się trzy zasadnicze rodzaje znaków wysokościowych:

- podziemne,
- naziemne,
- ścienne, którymi są repery osadzone w ścianach budowli gwarantujących dobrą ich stabilność.

Różne wysokości, różne morza...

Okres, w którym pierwszy raz oznaczono na mapach wysokość nad poziom morza Limanowej i okolicznych miejscowości miał miejsce w czasach, gdy Polska znajdowała się pod zaborami, a Ziemia Limanowska była pod panowaniem Monarchii Habsburskiej. W związku z tym faktem wszystkie pomiary wykonywane na Limanowszczyźnie do odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 roku wyznaczano od poziomu Adriatyku

Oryginalny reper austro-węgierski ze stacji kolejowej w Austrii

mierzonego w Trieście. Dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości zaczęto oznaczać wysokości na Ziemi Limanowskiej od poziomu Bałtyku w Kronsztadzie. Pewnie czytelnicy „Echa Limanowskiego” pamiętają z lekcji geografii w szkole, że wysokości poziomów pomiędzy poszczególnymi morzami i oceanami się jednak różnią. Poziom morza w Trieście, od którego wyznaczano wysokość w Monarchii Austro-Węgierskiej w tym i w Galicji, a poziom morza w Kronsztadzie, od którego wyznaczano wysokość w Cesarstwie Rosyjskim różnią się nieznacznie. Po odzyskaniu niepodległości II Rzeczpospolita przyjęła punkt w Kronsztadzie za ten, od którego będzie się wyznaczać wysokość nad poziom morza w państwie. Dziś porównując mapy sprzed 1918 roku i po nim, można zauważyć różnice w wysokościach nad poziom morza.

Zabytkowy relikw z czasów Franciszka Józefa I

W Mszanie Dolnej na ścianie dworca od strony torów do dzisiaj znajduje się reper z czasów Franciszka Józefa I. Jest to metalowa tablica z wysokością nad poziom morza. Oczywiście pokazuje 403,457 metrów nad poziom morza, tyle że Adriatyku mierzonego w Trieście, a nie Bałtyku jak obecnie jesteśmy przyzwyczajeni. Takie repery w formie tablic zachowały się na wielu dworcach kolejowych w krajach dawnej Monarchii Habsburskiej. Ten z Mszany Dolnej jest uszkodzony, ponieważ oryginalnie



Pośrodku elewacji budynku stacji kolejowej w Limanowej można zauważyć reper. Pocztówki z początku XX wieku.



Reper w Mszanie Dolnej

reper austro-węgierski wyglądał jak ten na zdjęciu zrobionym na jednej ze stacji kolejowej w Austrii. Zachowany jest on w pierwotnym stanie z napisami w języku niemieckim. Niestety reper w Mszanie Dolnej ma zatarte napisy w języku niemieckim (zapewne zatarto je po odzyskaniu niepodległości). Można by je kiedyś przywrócić przy remoncie jako ciekawostkę z czasów powstania linii kolejowej Chabówka – Nowy Sącz.

Na ścianach wszystkich budynków dworców na linii kolejowej Chabówka – Nowy Sącz pierwotnie znajdowały się repery. Umieszczone były pośrodku na ścianie frontowej od strony torów. Analizując archiwalne fotografie tych dworców można stwierdzić, że na pewno repery znajdowały się na stacjach: Chabówka, Zaryte, Mszana Dolna,



Reper znajduje się w północnej części świątyni na ścianie tuż przy wejściu.

Kasina Wielka, Dobra, Tymbark, Limanowa, Pisarzowa, Męcina, Marcinkowice i Nowy Sącz. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku w okresie dwudziestolecia międzywojennego repery te stopniowo likwidowano. Jednak większość zniknęła ze ścian dworców w okresie PRL – u podczas remontów. Jedyny, który pozostał w naszej okolicy to ten w Mszanie Dolnej.

Na stacji kolejowej w Limanowej znajdował się dawniej reper. Niestety nie dotrwał do naszych czasów. Pytanie jednak brzmi, czy został zniszczony jak i sam budynek dworca 18 stycznia 1945 roku, czy może jednak został wcześniej zlikwidowany? Analizując dawne fotografie stacji w Limanowej można stwierdzić, że do pewnego momentu w okresie II RP reper ten jest nadal na swym miejscu, ale w pewnym momencie w jego miejscu pojawia się tablica poświęcona lotnikom Franciszkowi Żwirko i Stanisławowi Wigurze. O tablicy tej i okolicznościach jej odsłonięcia pisał w „Echu Limanowskim” kilka lat temu Zbigniew Sułkowski.

Reper na ścianie limanowskiej bazyliki

W ścianie Bazyliki Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej znajduje się reper z okresu II Rzeczypospolitej. Jest on umieszczony na zewnątrz kaplicy św. Antoniego tuż przy schodach prowadzących do bocznego wejścia do kościoła. Większość osób przechodząc obok niego, pewnie nie zwróciła nigdy na niego uwagi. Jest to niewielkich rozmiarów metalowy znak zakotwiony w ścianie. Znajduje się na nim orzeł w koronie i napis: „Znak Wysokości M RP”. Obecnie jest on pokryty rdzą. Warto byłoby go w najbliższym czasie oczyścić z rdzy i zabezpieczyć odpowiednim środkiem przed działaniem warunków atmosferycznych. Został on umieszczony w tym miejscu, gdyż repery umieszczano przeważnie na murowanych ważnych



w danym miejscu budynkach. Często właśnie umieszczano je na świątyniach lub budynkach dworców kolejowych. W momencie gdy Polska odzyskała niepodległość i zaczęła wyznaczać wysokość nad poziom morza od Bałtyku, naturalnym miejscem dla zakotwienia repera była limanowska świątynia, której budowę właśnie ukończono i poświęcono w 1918 roku.

Repery mają różne kształty i w zależności od czasów, w których powstały, znajdują się na nich różne godła i napisy. Warto zwiedzając różne miejscowości na terenie naszego kraju, zwrócić uwagę czy na zabytkowym budynku nie znajdują się stary reper. Może on być sprzed 1918 roku i mieć napisy po niemiecku lub rosyjsku albo mieć już orła białego w koronie i być z okresu II RP. Wbrew pozorom o historii danego miejsca świadczyć mogą nie tylko zabytki architektury ale także takie rzeczy jak właśnie repery, czy pokrywy studzienek kanalizacyjnych albo nawet stare żeliwne rynny, na których znajdują się ciekawe napisy i daty np. jeszcze z XIX wieku.

Fotografie: arch.: albumu „Okrychy pamięci”,
Karol Wojtas

Spełnione obietnice

Antoni Mamak

O, wy, nasze kapliczki, figury i krzyże, tak licznie rozsiane po polskiej ziemi, jesteście wrośnięte nieodłącznie w nasz krajobraz. Okazały i skromne, podupadłe, pochylone przez wichry czasu. Ile w was piękna i zadumy. Wszystkie jesteście świadkami licznych historycznych wydarzeń i ludzkich losów. Postawiono was z potrzeby serca albo jako wotum wdzięczności za otrzymane łaski.

Każdy z nas w swoim życiu ma dni spokojne, szczęśliwe, ale są też takie momenty, że jakimś cudem uniknęliśmy grożącego nam niebezpieczeństwa. Wtedy w naszym sercu rodzi się bezgraniczna wdzięczność za ocalałe zdrowie lub życie. W ślad za tym idą przyrzeczenia i czyny, bo wdzięczność bez czynków niczym jest!

Czasem zadajemy sobie tajemnicze pytania. Dlaczego podejmujemy taką, a nie inną decyzję? Co nami kieruje, że właśnie to czynimy i udajemy się w określone miejsce, aby zrealizować określone marzenie?

Takie pytania zadałem Józefowi Rusinowi, sąsiadowi mieszkającemu przy ul. Jana Rachwała, który jest fundatorem kopii Piety limanowskiej umieszczonej w kapliczce przy ul. Źródlanej.

Pytania brzmiały: Co panem kierowało, że będąc wiele razy w Krakowie, swoje kroki skierował pan do jednego z antykwariatów, gdzie znajdowała się wierna kopia limanowskiej Matki Boskiej Bolesnej?

Jak doszło do Jej nabycia?

Józef Rusin odpowiedział: *Nie wiem dlaczego tam zaglądnąłem. W zasadzie po antykwariatach nie chodzę. Zobaczyłem jak Figura stała pod zadaszeniem, nieco poniszczona. Wróciłem do domu, ale zaistniałe zdarzenie nie dawało mi jednak spokoju, często o Niej myślałem. Powtórnie udałem się do Krakowa, wstąpiłem do antykwariatu. Figura stała wśród skrzyń i paczek, i jakby patrzyła na mnie i mówiła: weź mnie ze sobą. Tym razem wróciłem do domu z mocnym postanowieniem, że Figurę zabiorę i tak też zrobiłem. Dlaczego nie zawiozłem Jej do swojego domu, tylko na ulicę Źródlaną do nieznanego mi bliżej Stanisława Trojanowskiego, nie jestem w stanie logicznie tego wytłumaczyć.*

Niewiele jest takich miejsc, aby na małym obszarze mającym około 2 km² o luźnej zabudowie było tak wiele małej architektury sakralnej, jaka znajduje się „Po Górą” w Limanowej, pomiędzy ulicami Leśną a ks. Jana Rachwała. Do najstarszych z nich należą dwie pochodzące



Kapliczka osiedlowa przy drodze, obecnie ulicy ks. Jana Rachwała. W panoramie Jubileuszowy Krzyż na Chłopskiej (Miejskiej) Górze. Z prawej Łysa Góra.

z początku XIX wieku. Pozostałe wybudowano w drugiej połowie ubiegłego stulecia oraz w obecnych czasach. Są one bardzo piękne, każda inna, o zmiennej tematyce religijnej. Jeżeli do tego dołożymy piętnaście kapliczek Drogi Krzyżowej, to łączna ilość kapliczek w tym rejonie jest imponująca i wynosi 27.

Zwieńczeniem tych wszystkich małych obiektów sakralnych jest widniejący nad całą okolicą największy w Polsce Jubileuszowy Krzyż na Chłopskiej Górze.

Jedną z wielu ścieżek prowadząca od torów kolejowych w rejon Łysej Góry jest polna droga wijąca się wśród pól. Nie przypadkowo tę właśnie drogę często wybierał i tędy wędrował ks. Jan Rachwał, idąc ku Łysej Górze i napotykając na przydrożne kapliczki. Dlatego fakt ten uszanowano i współcześnie nazwano tę drogę ulicą ks. Jana Rachwała. Obecnie przy tej ulicy i w pobliżu znajduje się 6 kapliczek.

Przypomnijmy kilka zdań o ks. Janie Rachwale, wielkim orędowniku przydrożnych kapliczek.

Do Limanowej przybył w 1937 roku, gdzie jako wikariusz i katecheta pracował przeszło 50 lat. W czasie wojny pomagał więźniom, zakładnikom i ich rodzinom. Był kapelanem oddziałów partyzanckich. Pracując w szkołach, gromadził wokół siebie dzieci i młodzież, był autorytetem dla wielu osób. Był harcerzem i prowadził działalność harcerską. Interesował się życiem ludzi, niósł pomoc potrzebującym. Docierał w odległe miejsca naszej parafii w czasie wędrowek po górach. Odwiedzał swych parafian, którzy chętnie go przyjmowali. Miał wielu przyjaciół i znajomych.

Był gorącym czcicielem Matki Bożej w Limanowej. Wspierał proboszcza ks. Ludwika Kowalskiego w staraniach o Jej koronację.

Jak zapamiętałem ks. Rachwała?

Kiedy w roku 1939 do Stanów Zjednoczonych wyjechał ks. Stanisław Kalisz, dotychczasowy mój katecheta, który uczył mnie religii w 1 i 2 klasie, obowiązki po nim przejął właśnie ks. Jan Rachwał i uczył mnie religii od



Ks. Jan Rachwał na wycieczce z harcerzami - lata czterdzieste XX wieku.

klasy trzeciej. To On przygotował mnie na ministranta. Cierpliwie nauczył mnie mówić po łacinie i jak mam się zachować w czasie nabożeństw. W tym czasie ministrantów było tylko dziewięciu i chociaż w lata okupacji nie było nam łatwo, to żarliwie wypełnialiśmy swoje obowiązki. Ks. Jan Rachwał, można powiedzieć, w jakiś sposób mnie wyróżniał. Z jego polecenia prowadziłem dzienniczek obecności chłopców mojej klasy w kościele. Wyznaczał mnie dodatkowo po kolędzie, po bardzo rozległej parafii limanowskiej, co było dla mnie dużym wsparciem finansowym. W czasie jednej z kolęd, daleko od miasta, za górą Golców, jedna gospodyni użalając się nad nami powiedziała: „*Odybiecie się po takich wielkich śniegach, ale co się nie robi dło tyk paru grosy*”.

Starałem się księdzu za to w jakiś sposób odwdziżyć. Postanowiłem zbierać owoców jałowca, który był składnikiem kadzidła. Szczyt Łysej Góry był w tych czasach nie zalesiony, rosło tam bardzo dużo krzewów jałowca. Pamiętam dobrze moje podrapane ręce w czasie zbierania owoców. W zamian za to ks. katecheta podarował mi książkę zatytułowaną „Ojciec Nasz”.

Ks. Jan posiadał piękny silny głos, w tych czasach w naszym kościele jeszcze nie było nagłośnień. Pamiętam, kiedy w okresie po Wielkiej Nocy na zakończenie Mszy św. zaśpiewał: „*Ite Missa Est Alleluia, Alleluia*”, to wszyscy byli pod wrażeniem, a wierni zgromadzeni w kościele zaśpiewali tak, aż mury drżały: „*Deo Gratias Alleluia, Alleluia*”.

Ksiądz Jan był wychowawcą i nauczycielem religii paru pokoleń uczniów w Limanowej. Chociaż uważany był jako katecheta za bardzo wymagającego, to cieszył się powszechnym szacunkiem. Mój wyjazd z Limanowej, wojsko, praca zawodowa, nieco nasz kontakt osłabiły. Ponowił się, kiedy moją trójkę dzieci zaczął uczyć religii w szkole podstawowej. W roku 1980 otrzymałem zlecenie przeprowadzenia remontu domu parafialnego tzw. „Wikarówki”, położonego w rogu rynku przy ul. Kościuszki, gdzie mieszkał ks. Jan. Wtedy znajomość nasza została odnowiona. Czasem zapraszał mnie do swojego pokoju na kawę, o którą w tych czasach było bardzo trudno. Pokazywał swoje zbiory obrazów, z których był bardzo dumny.

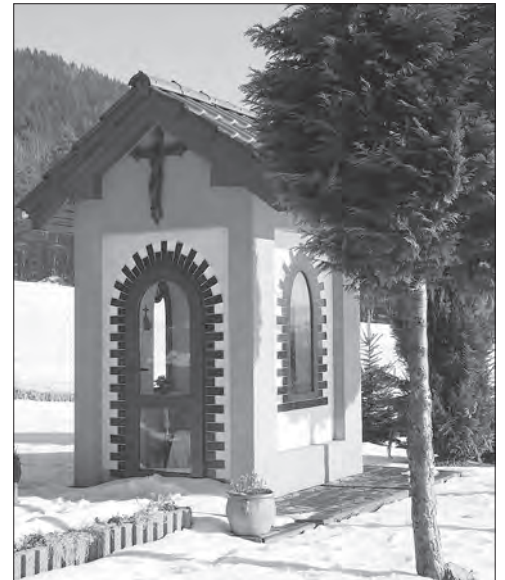
Po zakończeniu remontu zawołał mnie do siebie, wręczył butelkę dobrego wina i powiedział: „*po robocie daj pracownikom po kieliszku, a resztę schowaj na dzień następnny*”.

Obserwowałem go, jak po porannym nabożeństwie bierze do ręki laseczkę i wychodzi. Pytałem go, gdzie ksiądz się wybiera? Jeszcze nie wiem gdzie. Stawał chwilę na rogu rynku, potem szedł w kierunku ul. Grunwaldzkiej pod pomnik albo Pod Górę do kapliczki Abrama, którą darzył wielkim szacunkiem, bo wiem w okresie okupacji było to miejsce kontaktowe AK.

Jak już wspominałem, szczególnie ulubionym miejscem spacerów ks. Jana była łagodnie wznosząca się droga zaczynająca się od wysokiego nasypu torów kolei w kierunku lasu u podnóża Łysej Góry.



Kapliczka na polu Józefa Rusina z figurą Jezusa Miłosiernego.



Kapliczka św. Brygidy na polu Józefa Rusina, w tle Łysa Góra.



Kapliczka osiedlowa.



Kapliczka na polu Władysława Talagi.



Kapliczka Barbary Któł z domu Hebda.



Kapliczka z kopią Cudownej Figury Matki Bożej Bolesnej na działce Stanisława Trojanowskiego.

Ta polna wąska droga była dawniej granicą wsi Mordarka i polami należącymi do miasta. Przecinała ona podłużne łąny pól, a na tych odcinkach należała do ich właścicieli. Stosunki dobrosąsiedzkie pozwalały każdemu na jej użytkowanie. Był jednak problem z dojazdem i wyjazdem z niej, bo była jakby ślepą drogą. Ponad 130 lat temu budowa linii kolejowej transwersalnej z wysokim nasypem odcięła jej połączenie z drogą do Mordarki. Tak więc wszyscy mieszkańcy musieli nadłożyć spory kawałek drogi i wyjechać pod wiaduktem kolejowym obok dworu w Mordarce. Pieszko można było przejść do miasta przez skarpę albo wzdłuż torów kolejowych w kierunku obecnej ul. Leśnej. Wiązało się to z dużym niebezpieczeństwem. Obecnie po zasypaniu jaru droga ta jest przejezdna na całej długości.

Mieszkańcy osiedla przy tej drodze widzieli często ks. Jana Rachwała jak szedł powoli, zatrzymując się najpierw przed najstarszą limanowską kapliczką, w której znajduje się proroczy olejny obraz namalowany wiele lat temu, przedstawiający jakby dzisiejsze zabudowania limanowskich „Działów”. Szedł dalej powoli, spoglądając na panoramę miasta i na potężną sylwetkę naszej świątyni.

Zachwycał się pięknem tych stron, łagodnych grzbietów Beskidu Wyspowego i Gorców o innych barwach w każdej porze roku. Latem ciemnych i zielonych, jesienią mieniących się złotem i purpurą, zimą uśpionych przez wiele miesięcy pod śniegiem i szronem. Spoglądał w dolinę, na Limanową, często spowitą jesienną mgłą, jak zaginione miasto.

O czym myślał podczas tych spacerów, trudno powiedzieć. Czasami zwierzał się mieszkańcom tego rejonu, że Jego wielkim pragnieniem jest, aby przy istniejących kapliczkach w przyszłości odprawiane były Dróżki Maryjne. Czy Jego pragnienie się spełni, zależy od nas!

W lesistych stokach Łysej Góry znajduje się 15 kapliczek Drogi Krzyżowej. Kapliczki te stały się nieodłączną częścią licznych pielgrzymek i nabożeństw w ciągu roku.

Jednym z inicjatorów ich powstania był ks. prałat Józef Poręba, ówczesny proboszcz parafii limanowskiej.

Nie będę wdawał się w szczegóły tego wydarzenia, bo ono jest zbyt obszerne. Podam tylko jeden fragment, który zapamiętałem, kiedy ks. prałat Józef Poręba mówił do wiernych w kościele: „Proszę was, aby każdy kto może, przyniósł chociaż jeden kamień pod fundamenta kapliczek”, po czym dodał: „Ale niech to nie będzie cudzy kamień”.

Z okazji jubileuszu 50-lecia koronacji limanowskiej Piety, 11 września ubiegłego roku została poświęcona nowa kapliczka przy zbiegu ulicy Źródlanej. Pisał o tym obszernie Stanisław Trojanowski, właściciel posesji, na której wybudowano tę kapliczkę („EL” nr 268-269, styczeń – luty, 2016 r.).

Jest to już szósta kapliczka w tym rejonie, podążając w kierunku ul. ks. Rachwała i dalej do podnóża Łysej Góry. Wiem, że jest już ofiarowana parcela pod budowę kolejnej siódmej kapliczki, która po wybudowaniu spełniałaby marzenie ks. Jana Rachwała i mogłyby w tym rejonie być odprawiane Dróżki Maryjne.

Sama zaś kapliczka byłaby swoistego rodzaju wotum wdzięczności dla wielce zasłużonego i szanowanego kapłana, a jej poświęcenie mogłoby nastąpić w 25. rocznicę Jego śmierci, która przypada w sierpniu tego roku.

Wszystko od nas zależy!

Fotografie: Stanisław Ociepka

Pierwszy wodociąg w Limanowej

Stanisław Ociepka

Woda – źródło życia. To dzięki niej rozkwitały starożytne cywilizacje. Jej brak prowadził do wyludnienia miast i całych regionów. Pozbawione wody, padały niezdojane twierdze.

Człowiek od zarania dziejów zawsze poszukiwał naturalnych źródeł wody podziemnej samoczynnie wypływającej na powierzchnię Ziemi.

Budował więc studnie. W historii wielu miast polskich można odnaleźć stare wiekowe studnie budowane na zdrojach ulicznych, które miały piękne drewniane obudowy z charakterystycznym zadaszeniem. Ta niepowtarzalna architektura była niekiedy dziełem znakomitych polskich architektów.

Z biegiem lat człowiek nauczył się doprowadzać wodę z odnalezionych dalekich źródeł do miast, wykorzystując naturalny spadek terenu. Budował więc akwedukty.

Historia wodociągów i kanalizacji sięga czasów antycznych. Pierwszy akwedukt o długości około 50 km powstał w Sumerze i prowadził wodę z górskiego ujęcia do Niniwy stolicy Asyrii. Sieć wodociągów stworzyli także starożytni Grecy, ale prawdziwymi mistrzami okazali się Rzymianie, którzy wybudowali kilkaset kilometrów sieci wodociągowej i kanalizacyjnej. W średniowiecznych miastach funkcję wodociągów pełniły początkowo studnie. Wraz z budową małych i wielkich grodów powstawać zaczęły pierwsze drewniane wodociągi. Na terenie Polski pierwsze wodociągi pojawiły się w XIII wieku. Poważne zmiany w interesującej nas problematyce przyniósł wiek XVIII. Prawdziwy rozwój sieci wodociągów i kanalizacji nastąpił w okresie uprzemysłowienia.

Jak było w Limanowej?

Pierwszy wodociąg w Limanowej powstał prawdopodobnie w drugiej połowie XIX wieku i doprowadzał wodę do limanowskiego browaru oraz do dworu Marsów w Starej Wsi.

Profesor Franciszek Bujak w swojej publikacji zatytułowanej „Limanowa: miasteczko powiatowe w Zachodniej



Studnia w zabudowie drewnianej na limanowskim rynku. Fotografia z końca XIX wieku.



Drewniana studnia obok figury św. Floriana na rynku w Limanowej. Lata trzydzieste XX wieku.

Galicji. Stan społeczny i gospodarczy” wydanej w Krakowie w 1902 roku, opisując limanowski browar, napisał: (...) Po ukończeniu nowego wodociągu zapewniającego mu wyborną wodę, powinien stanąć w szeregu pierwszych browarów w kraju. O fakcie tym wspomina również Elżbieta Hermanowicz (W czasie okupacji pracowała w dworze Marsów – przyp. red.) w pracy dyplomowej zatytułowanej: „Historyczny rozwój gospodarki komunalnej miasta”, napisanej w 1966 roku, czytamy:

(...) Początkowo browar opierał swą produkcję na wodzie pobieranej z własnej studni. W miarę rozwoju rynku zbytu piwa w 1890 r. właściciel, Antoni Józef Mars wystarał się u władz austriackich o zezwolenie na budowę wodociągu. Realizacja budowy wodociągu trwała około 2 lat. Ujęto źródła naturalne na Łysej Górze i wodę prowadzono rurami drewnianymi z wydrążonych pni drzew by nie psuć smaku wody. Przy opisywaniu przez Hermanowicz budowy drugiego wodociągu w latach międzywojennych



Widok w kierunku głównego zbiornika ujęcia wody w Wielkiej Dolinie pod Łysą Górą w pobliżu kamieniołomu - stan współczesny. Fot. Stanisław Ocieпка

► możemy odnaleźć inne zdanie: (...) *W czasie układania rur na ulicach miasta, napotymano na drewniane rurociągi z drążonych pni, którymi nasi przodkowie prowadzili wodę do picia.*

O istnieniu w Limanowej wodociągu „drewnianego” wspominał również Antoni Mamak mieszkający „Pod Górą” (dziś przy ul. Leśnej). Powiedział m.in.: „Mój ojciec Franciszek wiele razy opowiadał o wodociągu, który bieg rozpoczynał z ujęcia pod Łysą Górą i prowadzony był przez pola rurami drewnianymi drążonymi w sosnowych pniach. Miejscowa ludność rury te nazywała „bąbami”. Rury te połączone ze sobą były metalowymi tulejami. Do uszczelniania łączonych części poszczególnymi odcinkami rur używano mchu i dziegciu.

Jeszcze po II wojnie światowej kiedy drenowano pola, napotymano na fragmenty tego drewnianego wodociągu.

Zapewne starszym źródłem pitnej wody dla mieszkańców naszego miasta od rurociągu drewnianego, była studnia stojąca pośrodku limanowskiego rynku pod figurą św. Floriana, u której zawsze gromadzili się w wieczornej porze starzy i młodzi, rozmawiając na tematy dnia. Nie ma źródeł pisanych, które określałyby rok wybudowania tej studni.

Należy również wspomnieć o rurociągu wybudowanym przez Francuzów na początku XX wieku przy budowie rafinerii nafty w Sowlinach. Ujęcie wody dla tego rurociągu było na rzece Sowlinka.

Tak o tym pisał Marek Pankiewicz: (...) *Rafineryjna kotłownia spełniała również inną funkcję i to przez wiele lat, od czasu uruchomienia w 1908 r. aż do wygaszenia jej ostatniego kotła. Zapewniała gorącą wodę robotniczej łaźni. (...) Jej główną część zajmowały dwa szeregi natrysków dla mężczyzn. Dla kobiet przeznaczono trzy oddzielne kabiny z wannami. W soboty, pod wieczór, łaźnia była udostępniona wszystkim rodzinom pracowników, bo Kolonia robotnicza była co prawda jeszcze przez francuską spółkę zaopatrzona w bieżącą wodę i wyposażona w kanalizację, lecz pozbawiona łaźienek.*

Kiedy w roku 1884 uruchomiono kolej transwersalną, która biegła przez Limanową, zaistniała potrzeba doprowadzenia wody na stację kolejową. Wybudowano wówczas przepompownię w rejonie rzeki Sowlinki, z której czerpano wodę i pompami tłoczono ją rurociągiem do wieży ciśnienia na stację kolejową. Woda ta zasilala kotły parowozów poruszające się tą linią kolejową. Pod koniec II wojny światowej wieża ciśnienia wraz z budynkiem dworca kolejowego zostały wysadzone przez wycofujących się Niemców. Po wojnie wybudowano nowy zbiornik na wodę, który dalej był zasilany tym samym wodociągiem.

Wszystkie opisane przykłady funkcjonowania rurociągów wody w Limanowej miały charakter w zasadzie techniczny, sporadycznie służyły do celów komunalnych. Budowane one były przede wszystkim

na potrzeby funkcjonowania: browaru, rafinerii nafty w Sowlinach oraz do zasilania wieży ciśnienia na stacji kolejowej.

Dopiero w latach międzywojennych zaczęto się zastanawiać nad rozwiązaniem tego tak ważnego społecznie problemu. Mieszkańcy Limanowej domagali się już w roku 1928 budowy wodociągu i kanałów. Z uwagi na budowę szkoły i występujące trudności w otrzymaniu kredytów inwestycję tę wstrzymano. Kanalizację i budowę wodociągu rozpoczęto w 1936 roku. Jak do tego doszło?

W roku 1934 burmistrzem Limanowej zostaje Tomasz Bieda, kupiec, który po powrocie do Limanowej w 1913 r. aktywnie włączył się w działalność samorządową. Z oszczędności poczynionych jeszcze w Ameryce zbudował kamienicę w południowej części Rynku, w której otworzył sklep z towarami spożywczymi i restaurację, zaś na piętrze były mieszkania.

To za jego gospodarowania w roku 1935, Zarząd Miasta Limanowa podjął starania w Urzędzie Wojewódzkim o dotację na budowę sieci wodociągowej, wraz z towarzyszącymi inwestycjami, mających zaopatrzyć miasto liczące wówczas 2000 mieszkańców w wodę do picia i potrzeb gospodarczych.

Dla uzyskania pożyczki została złożona odpowiednia dokumentacja, projektowo – kosztorysowa wykonana przez inż. Mieczysława Kapturkiewicza i Adama Kalczyńskiego. Projekt ujmował budowę sieci wodociągowej o długości 2200 m oraz zbiornika żelbetonowego o pojemności 100 m³. Wartość kosztorysowa tych robót wynosiła 150 tys. zł.

Na podstawie zatwierdzonego przez Urząd Wojewódzki w Krakowie projektu, uzyskano w roku następnym 1936 pożyczkę w wysokości 100 tys. zł z „Funduszu Pracy”, realizującego tego rodzaju potrzeby miast i wsi posiadających duży odsetek ludności pozostającej bez pracy. Koszta pokryto z budżetu miasta. Przyznana pożyczka warunkowała zatrudnienie bezrobotnych.

Ujęcie źródeł i betonowe sztolnie znajdowały się na Łysej Górze. Źródła zostały przykryte betonowymi pokrywami. Ich wydajność wynosiła 1,5 litra na sekundę, czyli w czasie doby ze źródła wypływało prawie 130 m³ wody pitnej. Rurociąg został wykonany z rur stalowych o średnicy 3 i 2 cale uszczelnionych ołowiem. W mieście wybudowano 10 studzienek czerpalnych żeliwnych oraz 10 hydrantów przeciwpożarowych.



Budowa głównego zbiornika ujęcia wody w Wielkiej Dolinie pod Łysą Górą - 1936 rok.



Budowa zbiornika wyrównawczego w okolicy ul. Średniej (dzisiaj Leśnej).



Obok: Przejście wodociągu pod torami kolejowymi w okolicy jaru (dzisiaj przy ul. Źródlanej).



Powyżej: Wykopy pod wodociąg w okolicy miejskiego lasu (dzisiaj przy ul. Kasprowicza).

Obok: Ekipa budowlana miejskiego wodociągu przy budynku „Sokoła” i pomnika „Nieznanego Żołnierza”.

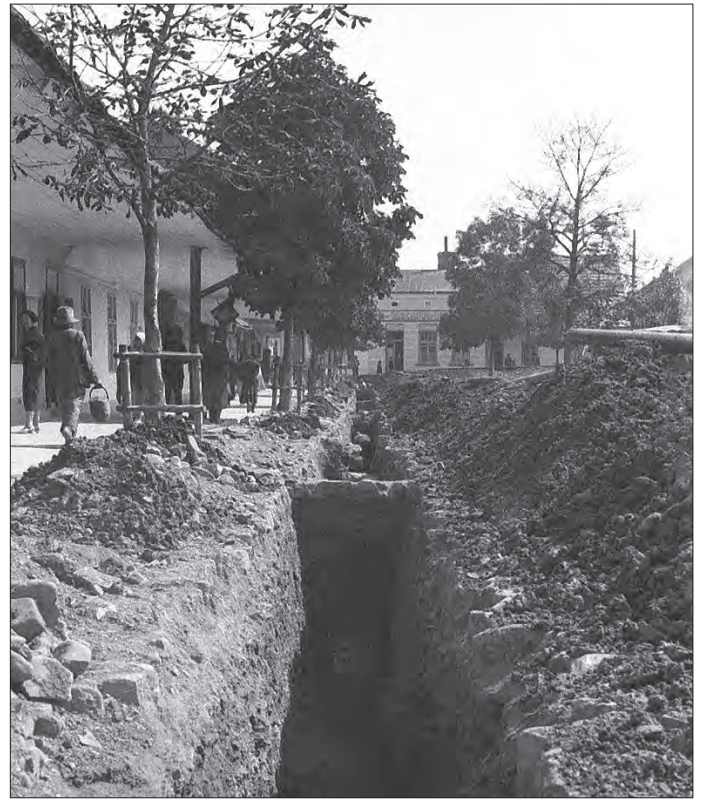
W odległości 1 km od miasta wybudowano zbiornik dwukomorowy żelbetonowy o pojemności 100 m³ z komorą zasuw na wysokości 80 m nad poziomem rynku. Wysokość ta gwarantowała utrzymanie potrzebnego ciśnienia w rurociągu dla dostarczenia wody w najwyższych punktach miasta. Trudności w wykonaniu sprawiły przejścia pod torami kolejowymi w czasie normalnego ruchu pociągu oraz przejście pod potokiem Mordarka. ▶



Wykopy pod wodociąg na ulicy Józefa Piłsudskiego (dzisiaj M. B. Bolesnej). Z lewej kamienica starostwa, z prawej parterowy budynek „Sokoła”.

Trudnością była również dostawa rur koźmi po stoku górskim o spadku drogi około 15% i leśnych wertepach. Źródła wody odkrył inż. Morawski z Krakowa obok kamieniołomu na stoku Łysej Góry przy zastosowaniu prawideł radiestezji (rózdzkarstwa). Roboty przy wodociągu nadzorował wspomniany inż. Kapturkiewicz, zatrudniając około 60 bezrobotnych przez okres 1 roku. Pracownik fizyczny zarabiał około 3-5 zł dziennie.

Trasa wodociągu od ujęcia źródła do miasta została opisana przez p. Antoniego Mamaka. Według jego relacji: *Ujęcia źródła wody były zlokalizowane w tzw. Wielkiej Dolinie miejskiego lasu na zboczach Łysej Góry, tuż obok kamieniołomu (obecnie nad ul. Kasprowicza). Było tych ujęć dziewięć, od których rurami ceramicznymi prowadzono wodę do zbiornika zbiorczego. Trasa rurociągu od zbiornika zbiorczego prowadziła przez polanę pól uprawnych należących do tzw. „Gajówki”. Dalej biegła pod miejskim lasem w kierunku drogi Średniej (dziś ul. Leśna). Wodociąg ten przebiegał środkiem tej drogi i dochodził do zbiornika wyrównawczego znajdującego się obok domu Frączka i dalej biegł wzdłuż jaru (obecnie przy ul. Źródlanej) i tam rury przechodziły pod torami kolejowymi, aby dojść do ówczesnej „Targowicy” (współcześnie rejon byłego dworca PKS). Przy „Targowicy” kolejną przeszkodą był potok Mordarka, po sforsowaniu którego rurociąg poprowadzony został w rejon budynku „Sokoła”, tuż przy pomniku Nieznanego Żołnierza. Dalej instalacja wodociągowa biegła ulicą Józefa Piłsudskiego (obecnie Matki B. Bolesnej) w kierunku rynku,*



Wykopy po stronie północnej pierzei rynku wzdłuż podcieni.

obchodząc go dookoła. Od rynku prowadzone były odgałęzienia wodociągu do bocznych uliczek.

Jaki był efekt wybudowania tego grawitacyjnego wodociągu dla miasta, opisuje we wspomnianej pracy Elżbieta Hermanowicz: *Wybudowanie w roku 1936 wodociągu i kanalizacji burzowej w najważniejszych miejscach miasta, nie wpłynęło zasadniczo na tryb i charakter życia mieszkańców. W roku 1938 sieć wodociągów w Limanowej wynosiła 4200 m i tylko 20 budynków mieszkalnych było do niej podłączonych, głównie z terenu rynku. Sprzedaż wody wynosiła około 25000 m³ rocznie. Do sieci kanalizacyjnej było podłączonych 12 budynków.*

Przeprowadzono na rynku sporadyczne łatanie dziur kamieniem rzeczonym różnych kształtów, nic też dziwnego, że ludność nazywała ten rodzaj bruku „kocimi łbami”. Żaden z trzech potoków biegnących przez miasto nie był uregulowany, a że w okresach wiosennych i letnich występują duże opady i topnienia śniegu, nic dziwnego że powodzie czyniły ogromne szkody w mieście.

Wodociąg miejski wybudowany w latach 30-tych ubiegłego stulecia nie rozwiązał problemu wody w mieście, dlatego w roku 1959 rozpoczęto budowę nowego wodociągu zasilanego w wodę z ujęcia na rzece Łososina. Zakończenie budowy przewidziano na 1965 rok. Niestety prace przedłużyły się do 1969 r., kiedy w całości wodociąg został wykonany. Przy jego eksploatacji okazało się, iż wodociąg ma wiele wad technicznych. Przez wiele następnych lat często powstające usterki musiały być likwidowane przez ekipy remontowe do tego celu specjalnie powołane.

Jak jest dzisiaj, każdy może ocenić.

Fotografie: z pracy Elżbiety Hermanowicz, arch. „Echa Limanowskiego”

Początki służby zdrowia w Limanowej – w 70. rocznicę powstania limanowskiego szpitala

O tej zasłużonej instytucji dla Limanowej i całej Ziemi Limanowskiej oraz ludzi, którzy ją tworzyli na przestrzeni lat, można by napisać monografię. Odsyłam więc do publikacji z 1997 roku wydanej z okazji 50-lecia limanowskiego szpitala, gdzie można zdobyć głębszą wiedzę na temat tejże lecznicy. W tej publikacji pokazana została szczegółowa historia powstania poszczególnych oddziałów szpitalnych i lekarzy z nimi związanych.

Poniższe wspomnienia odnoszą się będą bardziej do trudnych lat po II wojnie światowej, kiedy miały miejsce narodziny tej instytucji.

Podjąłem także próbę odtworzenia opieki zdrowotnej w naszym mieście w poprzednich latach. Niestety niewiele jest pisanych źródeł na ten temat z okresu galicyjskiego czy choćby z lat międzywojennych, a nawet z okresu okupacji.

W wydanym w 1880 roku „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”, w tomie V, na str. 232 pod hasłem „**Limanowa**” czytamy m. in.: (...) Ludność w tym mieście trudni się przeważnie szewstwem, szczególnie wyrobem grubego obuwia, używanego przez włościan, które spienięża na jarmarkach w miejscu i sąsiednich miasteczkach. Jest tu parafia rzymsko – katolicka, c.k. starostwo i urzędy z niem połączone,

rada powiatowa, sąd powiatowy, urząd pocztowy, stacja telegraficzna i apteka. Oprócz tych urzędów, zajmujących murywane domy, jest jeszcze szkoła 4-klasowa mieszana, wydział okręgowy towarzystwa kredytowego ziemskiego i szpital ubogich, założony przez plebana ks. Jana Duszyńskiego w 1834 roku dla zaopatrzenia 10 ubogich chrześcijan, utrzymywanych z dochodów pobliskiej wioski Lipowego. W najbliższej przyszłości

ma być tutaj otworzona stacja kolei żelaznej transversalnej na linii Żywiec – Nowy Sącz (linia ta uruchomiona została w 1884 roku – przyp. red.) (...).

Jan Sitowski, właściciel majątku i dworu w Mordarce, w publikacji „Wspomnienia limanowskie i staro-sądeckie” wydanej w Mordarce w 1916 r. pisze: Powinności lekarza rządowego w Limanowej pełnił Saganowski. Dr Leon Hermenegildus Żuławski był praktykującym lekarzem. Do Limanowej przybył w 1843 r. i praktykę lekarską prowadził w naszym mieście i okolicy przez 25 lat, aż do śmierci w 1869 roku (pisałem o tym w „EL” nr 262-263, lipiec 2016 r.).

Przez cały okres autonomiczny w Limanowej ordynował przynajmniej jeden lekarz. Obsadzona była też posada powiatowego fizyka rządowego. Po Leonie Żuławskim praktykę prowadzili: Kazimierz Kruk (do 1900 roku) i Michał Gnoiński, a na etatach fizyków ►



Pierwsza apteka Müllerów w Limanowej - druga połowa XIX wieku.



Apteka Zubrzyckich. Od prawej Wiktoria i Klementyna Zubrzyckie, ?? - 1910 rok.



Apteka przy ulicy Krakowskiej (dzisiaj Jana Pawła II). W drzwiach Klementyna Zubrzycka Bączkowska - lata pięćdziesiąte XX wieku.



Przed Ośrodkiem Zdrowia przy ul. Szwedzkiej. Stoją: dr Mieczysław Mycoń (pierwszy z prawej), dr Kazimierz Leśniakiewicz (pośrodku), pielęgniarka Helena Kurtycz (trzecia z prawej).



Dr Edward Merkowski przy samochodzie Tatra, którym jeździł do pacjentów - lata czterdzieste XX wieku.



Przed głównym wejściem do szpitala w Sowlinach. Przy karetce marki Dodge stoi kierowca Stanisław - lata czterdzieste XX wieku.

► pozostawali w starostwie: Wojciech Saganowski, Karol Kronenberg, Kazimierz Ciborowski, Edward Piotrowski i Kazimierz Mieroszewski. Ten ostatni służył pomocą lekarską podczas bitwy pod Limanową (Jabłoniec 1914 r.). To w jego domu nocował Józef Piłsudski.

Prywatną praktykę lekarską prowadził niemal do końca XIX w. chirurg Feliks Kohn.

Wielką rolę w opiece zdrowotnej w Limanowej odegrała czteropokoleniowa rodzina limanowskich aptekarzy, która prowadziła jedyną przez wiele lat w powiecie aptekę (wiele artykułów na temat tej działalności można znaleźć w „Echu Limanowskim”).

Dla przypomnienia – historię tej rodzinnej apteki rozpoczyna Ludwig Müller, który założył pierwszą aptekę w Limanowej około 1843 roku. Kolejnym właścicielem apteki był jego syn Antoni, a po śmierci żona Karolina, przy czym aptekę w tym czasie zarządzał Walerian Zubrzycki. W 1885 r. apteka przeszła na własność Waleriana Zubrzyckiego męża Franciszki z Müllerów córki Karoliny i Antoniego. Kolejną właścicielką apteki została córka Franciszki i Waleriana, Klementyna Zubrzycka Bączkowska, która pracę w tej aptece rozpoczęła po ukończeniu studiów farmaceutycznych w 1910 roku. Przejętą aptekę po ojcu z krótką przerwą w czasie I wojny światowej prowadziła

do czasu jej znacjonalizowania po II wojnie światowej.

W okresie I wojny światowej w aptece pozostał mąż Klementyny, Zdzisław Bączkowski, bowiem rodzina wyjechała do Grazu w Austrii.

W tym czasie miało miejsce ciekawe wydarzenie, które opisywała ówczesna prasa: *Aptekarzowi miejscowemu (Bączkowskiemu przyp. red.) omal nie stała się krzywda. Nie chciał od razu wydać czterech zranionych Rosjan, którzy u niego leżeli, ponieważ obawiał się, że patrol honwedów zabije rannych, honwedzi znów mniemali, że aptekarz ich ukrywa. O włos, a byłby stanął przed sądem wojennym, ale nieporozumienie się wyjaśniło i Rosjanie poszli do polowego szpitala.*

Po śmierci Zdzisława Bączkowskiego w 1939 roku aptekę prowadziła jego żona Klementyna z córkami Krystyną i Janiną. Te trzy dzielne kobiety nie zamierzały poddać się beznadziejnej sytuacji terroru lat okupacyjnych i włączały się w działalność ruchu oporu. O tej działalności napisała Janina Bączkowska w eseju zatytułowanym „Stały dyżur”. Oto jeden z fragmentów tych wspomnień: *Apteka jest cały czas czynna i ona przez parę tygodni, ciężkich pierwszych tygodni okupacji hitlerowskiej, jest ostoją i pomocą dla ludności (...). Apteka nasza jest jedyną czynną placówką służby zdrowia w mieście i okolicy (...). W Gorcach*

powstają oddziały partyzanckie, a ich dowódcy zwracają się do apteki z prośbą o zaopatrywanie w konieczne leki, środki opatrunkowe, znieczulające i surowicę. Nie można im odmawiać, przecież to walczą polscy chłopcy o wolną Polskę. Z narażeniem życia pracownicy apteki dostarczają więc do lasu całe skrzynie leków, opatrunków i żywności (...). Jan Rusin praktykant w aptece Bączkowskich za działalność konspiracyjną został rozstrzelany w 1944 roku w Rdziostowie koło Nowego Sącza.

Od roku 1919 ubezpieczenia społeczne były realizowane przez Kasy Chorych, a od roku 1933 przez ubezpieczenia społeczne. W tym okresie w Limanowej funkcjonował Powiatowy Ośrodek Zdrowia, utrzymywany przez samorząd powiatowy, był również lekarz miejski.

W „Polskim Przeglądzie Chirurgicznym” w artykule zatytułowanym „Chirurgia krakowska w latach 1920 – 1945” możemy jeszcze odnotować istotną informację o istnieniu szpitala polowego w czasie II wojny światowej w okolicach Limanowej. W artykule tym można odnaleźć taki akapit: (...) *W czasie okupacji liczący nieco ponad 100 łóżek oddział chirurgiczny Szpitala Bonifratrów, kierowany przez dr. Franciszka Zborczyńskiego był jedynym w Krakowie nie zatrudniającym lekarzy niemieckich. Poza stałą, niewielką obsadą lekarską, w skład której m. in.*



Siostry zakonne w czasie wykonywania posługi pielęgniarskiej w szpitalu dawały wsparcie i były podporą duchową pacjentów.



Przed szpitalem w Sowlinach stoją siostry Franciszkańki Rodziny Maryi; od lewej s. Gracjana Pasierb, s. Stanisława Jaworska, pośrodku położna Janina Radzichowska - 1973 rok.

wchodził dr Mieczysław Mycoń, opiekujący się jednocześnie zakonspirowanym szpitalem polowym AK w okolicach Limanowej.

Po II wojnie światowej sytuacja opieki zdrowotnej w Limanowej była tragiczna. Ludność wyniszczona okupacją hitlerowską praktycznie nie miała zorganizowanej pomocy lekarskiej, a na leczenie prywatne nie było ich stać. Najbliższy szpital znajdował się w Nowym Sączu. Wprawdzie do końca lat 40-tych formalnie obowiązywał w Polsce stan prawny i rozwiązania organizacyjne przyjęte w okresie międzywojennym, ale codzienna praktyka wykazywała zupełnie inną sytuację.

Najpilniejszym zadaniem tworzącego się zespołu limanowskiej opieki zdrowotnej w pierwszych powojennych miesiącach było zatrzymanie groźby epidemii chorób zakaźnych. Przystąpiono do zorganizowanej akcji przeciwepidemicznej. Ówczesny lekarz powiatowy dr Rakowski rozwinął intensywną akcję profilaktyczną w postaci szczepień ochronnych. W całej akcji ogromną rolę odegrał miejscowy oddział PCK wraz z działaczami pod przewodnictwem Mieczysława Czeczótki.

Zaraz po zakończeniu wojny otwartym lecznictwem zajął się dr Edward Merkowski, który do Limanowej przybył w początku lat czterdziestych i zawarł

związek małżeński z Zofią z Gibasów, wnuczką Zofii i Jana Sitowskich, właścicieli dworu w Mordarce. To dr Merkowski organizował w Limanowej Kasę Chorych, przez wiele lat był lekarzem domowym i przyjmował mieszkańców naszego miasta w miejscowym Ośrodku Zdrowia przy ul. Szwedzkiej, w którym pełnił funkcję kierownika od chwili założenia tej placówki, aż do końca swojego życia.

Ówczesny stan służby zdrowia wymagał od niego wszechstronności. Gotowy na każde wezwanie wyruszał do chorych o każdej porze dnia czy nocy najczęściej prywatnym samochodem „Tatrą”. Był lekarzem pracowników łososińskiej bednarni, CPN i kolejarzy. Warto w tym miejscu przypomnieć epizod związany z domową wizytą w 1946 roku dr. Merkowskiego. *Wezwany do chorego mieszkającego przy ulicy Ogrodowej tradycyjnie przyjechał do niego samochodem. Zbadał chorego, wystawił recepty i pokwitowania za wizytę i transport. Ponieważ w taryfie Kasy Chorych nie był ujęty dojazd samochodem tylko bryczką, więc zgodnie z przepisami wystawił takie pokwitowanie. Kasa Chorych zwróciła wszystkie pieniądze w/g dokumentów wypisanych przez dr. Merkowskiego.*

Wielkim wsparciem w jego pracy była Helena Kurtycz – pielęgniarka, która równocześnie pełniła także rolę „księgowej” ośrodka i sekretarki lekarza. Dr Edward

Merkowski darzył ogromnym zaufaniem panią Helenkę, tak popularnie nazywali tę wspaniałą osobę pacjenci.

Prowadzony przez Edwarda Merkowskiego Ośrodek Zdrowia składał się z poradni ogólnej, przychodni dla matki i dziecka, przychodni przeciwgruźliczej i przychodni skórno – wenerycznej. Prowadzona była również kuchnia mleczna, z której korzystały dzieci i zajmowano się rozdzielaniem przydziałów darów z UNRRA.

Zakres działań Ośrodka Zdrowia świadczy wymownie o ówczesnych problemach i zadaniach, jakie spoczywały na powojennej służbie zdrowia. Należy również wspomnieć, iż w latach 1945-1948 przystąpiono do organizowania na nowo placówek i instytucji służby zdrowia. Lekarzem powiatowym i obwodowym został dr Kazimierz Leśniakiewicz.

Bardzo ważną rolę w otwartym lecznictwie, zarówno dla mieszkańców miasta jak i rejonu Limanowej, odgrywały także inne ośrodki zdrowia. W roku 1956 oddano do użytku Rejonową Przychodnię Lekarską Obwodu Lecznictwa Kolejowego, która mieściła się w kamienicy przy ul. Kolejowej w Limanowej. W późniejszych latach przychodnię tę przeniesiono do nowo wybudowanego budynku obok stacji kolejowej. Przez wiele lat w tej przychodni pracował



Dużym wsparciem służby zdrowia tuż po II wojnie światowej była działalność limanowskiego PCK.

► dr Zbigniew Hłyń. W roku 1965 oddano zaś Miejską Przychodnię Rejonową przy ul. Orkana (dziś M.B. Bolesnej). Organizatorem tej przychodni był dr Marian Dąbrowski.

Rozsądni zaś mieszkańcy miasta dążyli do utworzenia w Limanowej stałego miejsca leczenia – szpitala. Nie było to łatwe zadanie, bowiem brak było odpowiedniej liczby wykształconej kadry lekarskiej i pielęgniarskiej, a także odpowiedniego budynku, w którym można by było zorganizować zakład leczenia zamkniętego.

Z inicjatywy Starostwa Limanowskiego, z początkiem 1947 roku utworzono Pogotowie Chirurgiczno-Położnicze w Limanowej, które stało się zalążkiem przyszłego szpitala limanowskiego. Propozycję jego zorganizowania powierzone doświadczonemu lekarzowi chirurgowi dr. Mieczysławowi Myconiowi, który w 1939 r. przyjechał do rodziny w Dobrej, gdzie zastała go II wojna światowa i tu pozostał. Przed wojną uzyskał doktorat z medycyny na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Był ordynatorem Oddziału Chirurgicznego szpitala ojców Bonifratrów. W czasie okupacji hitlerowskiej był lekarzem Obwodu ZWZ-AK (1.PSP) w Limanowej. Opracował metodę wytwarzania katgutu chirurgicznego (cienka nić chirurgiczna, ulegająca wchłonięciu po kilku tygodniach – przyp. red.) z baranich jelit. Tak o tej postaci wspominała pielęgniarka, siostra zakonna Helena Bruździńska: *Dr Mycoń przebywał na terenie szpitala w dzień i noc. Jako dyrektor troszczył się o jego zaopatrzenie w żywność, leki, materiały opatrunkowe i wszystko co było niezbędne do leczenia.*

Dr Myconia w organizowaniu zakładu leczenia zamkniętego wspierali: dr Zbigniew Hłyń – internista i dr Marian Dąbrowski – położnik. Ten pierwszy ukończył studia w 1939 r. na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. W latach 1945–46 odbywał jako wolontariusz praktykę w Szpitalu św. Łazarza w Krakowie. Zaś dr Marian Dąbrowski ukończył w 1935 r. studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, gdzie w latach 1937–38 był starszym asystentem Kliniki Położniczej i Chorób Kobiety, którą kierował prof. January Zubrzycki, limanowianin, syn aptekarza Waleriana Zubrzyckiego, dwukrotnego burmistrza Limanowej przed I wojną światową. Dr Dąbrowski podczas okupacji mieszkał w Mszanie Dolnej. W 1945 r. obronił doktorat z nauk medycznych.

Pierwszymi pracownikami, oprócz wymienionych lekarzy, byli: Anna Karcz – księgowa, Janina Radzikowska, Stanisława Bolisęga – Suchan, Zofia Sukiennik, Józefa Bogdanowska – położne, Stanisław Golonka i Stanisław Dutka – kierowcy karetek pogotowia (były dwie karetki marki „Dodge” przekazane ze Szpitala Wojskowego w Krakowie – przyp. red.).

Oddzielną historią jest zatrudnienie w szpitalu sióstr zakonnych. O fakcie tym wspomina siostra Helena Bruździńska: *W roku 1948 starosta Karol Winiarski zwrócił się do Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi w Mszanie Dolnej z prośbą, by podjęły pracę w szpitalu w Limanowej pielęgniarki siostry zakonne. Jako pierwsza przyjechała siostra Joanna Litwin i objęła pracę położnej i jednocześnie wykonywała czynności intendentki. Z nią przyjechała pielęgniarka*

siostra Zofia Obrębalska. Siostry mieszkały na terenie szpitala na poddaszu. W lutym 1949 roku do szpitala przyjechały kolejne siostry zakonne, pielęgniarki Stanisława Jaworska i Helena Bruździńska (pisząca te wspomnienia – przyp. red.). Siostra Bruździńska była pielęgniarką dyplomowaną i objęła pracę na sali operacyjnej w charakterze instrumentariuszki, jak również opatrunkowej.

Pomimo trudności i stałego braku środków, 1 sierpnia 1947 roku otworzono pierwszy oddział chorób wewnętrznych, a cztery dni później przyjęto pierwszą pacjentkę do leczenia.

Tak więc zrealizowano długo oczekiwane zadanie utworzenia namiastki pierwszego szpitala w Limanowej. Zlokalizowano go w budynku byłego robotniczego kasyna rafinerii ropy w Sowlinach. Budynek ten, mimo że był jednym z niewielu murowanych obiektów w pobliżu miasta, nie nadawał się na cele szpitalne, ale lepszego po prostu nie było.

Tak opisuje pielęgniarka siostra Helena Bruździńska wnętrze nowo urządzonego szpitala w Sowlinach w latach 1948–1950: *W piwnicy budynku była duża kuchnia prowadzona przez Rozalię Pytel oraz pralnia, w której pracowała Michalina Pławecka, był tam także i magazyn. W późniejszym czasie osoby się zmieniały. Na pierwszym piętrze budynku znajdował się Oddział Położniczy dr. Mariana Dąbrowskiego. Składał się z trzech sal: sali porodowej, sali noworodków, dyżurki lekarskiej i małej dyżurki dla pielęgniarek położnych. Na oddziale położniczym było około 20 łóżek. Obok na tym samym piętrze były trzy małe salki przeznaczone dla kobiet, które były po czystych operacjach chirurgicznych*

liczące razem 11 łóżek. Na parterze znajdowała się sala przyjęć tzw. sala ambulatoryjna, następnie duża jasna sala chorych na 11 łóżek dla chorych po czystych operacjach mężczyzn. Później duża jasna sala operacyjna, obok niej sala przygotowawcza oraz sterylizatornia i myjnia rąk przed operacją. Po prawej stronie jak się wchodziło do szpitala była sala chorych kobiet licząca 6 łóżek, obok znajdowała się łazienka. Po drugiej stronie była dyżurka lekarska, w której przebywał dyrektor dr Mieczysław Mycoń. Liczba pacjentów przybywających do szpitala z każdym tygodniem powiększała się i trzeba było na parterze urządzić salę dla chorych. Przygotowano salę, na której postawiono 34 łóżka. Leżeli na niej sami mężczyźni z różnymi diagnozami (była to dawna sala balowa ze sceną robotniczego kasy- na rafinerii nafty – przyp. red.).

W kolejnych latach szpital w Limanowej – Sowlinach przyjął nazwę Szpitala Powiatowego im. Henryka Dobrzyckiego (pseudonim Henryk Leszcz – polski lekarz, filantrop. Pionier w dziedzinie lecznictwa klimatycznego i sanatoryjnego w Polsce – przyp. red.).

Dr Mieczysław Mycoń funkcję dyrektora powiatowego szpitala w Limanowej pełnił do 31 grudnia 1951 roku. Po zwolnieniu go z tej funkcji, przeniósł się do Dobrej i tam podjął pracę w Izbie Porodowej.

Po dyrektorze Myconiu kierownictwo limanowskiego szpitala objął dr Jerzy Rachwał, ceniony chirurg Oddziału Chirurgicznego w Nowym Sączu. Dyrektorem limanowskiego szpitala był od 1 stycznia 1952 roku do 1 czerwca 1954 roku.

W tym okresie (1953 roku) ze szpitala wyodrębniła się samodzielna jednostka z własnym budżetem pod nazwą Pogotowie Ratunkowe. Siedzibą pogotowia była kamienica przy ul. Kościuszki 10, tzw. kamienica „Pod Białym Orłem”. Kierownikiem została lekarz Halina Muchowa, a funkcję lekarzy wyjazdowych pełnili felczerzy medycyny: B. Kubica, J. Adamczyk, B. Kijowski. Funkcję dyspozytora pełniła Kinga Rusek, pierwszymi sanitariuszami byli: J. Pałka, M. Mizgała, J. Włodarczyk, St. Zoń. W latach 1954-57 następowały zmiany kierowników. Byli nimi kolejno: lek. Wojtowicz, lek. Jan Port i lek. Józef Lewek. W 1954 r. zostali zatrudnieni felczer Aleksander Kotulski i Tadeusz Pawlik.

Nowe karty historii limanowskiego szpitala rozpoczęły się z chwilą objęcia funkcji dyrektora przez dr. Józefa Bugaję. Ten lekarz o dużym doświadczeniu chirurgicznym i ogólnomedycznym objął stanowisko dyrektora szpitala 4 sierpnia 1954 roku. Pracę rozpoczęła też jego żona lekarz Anna Bugaj, która wykonywała dla szpitala badania bakteriologiczne w Powiatowej Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej.

Józef Bugaj ukończył Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Specjalizację z chirurgii zrobił w Krakowie w szpitalu w II Klinice Chirurgicznej, a doktorat obronił w 1949 r. Wojna zastała go w Szpitalu Miejskim w Mysłowicach. Po wielu wojennych tarapatkach, przyjechał do Krakowa, gdzie początkowo był pracownikiem fizycznym, później praktykantem w Szpitalu ojców Bonifratrów w Krakowie. Od 1941 roku do końca okupacji pracował na oddziale

Chirurgicznym Szpitala św. Łazarza w Krakowie. Po wojnie był zastępcą ordynatora Oddziału Chirurgicznego Szpitala MSW w Krakowie, a od 1952 r. ordynatorem tego szpitala.

Stanowisko dyrektora limanowskiego szpitala pełnił do momentu reorganizacji służby zdrowia i powołania w 1973 roku ZOZ. Pozostał jednak dalej ordynatorem Oddziału Chirurgii Ogólnej, aż do przejścia na emeryturę w listopadzie 1983 roku.

Doktor Józef Bugaj był osobą wielce szanowaną przez personel, pacjentów i społeczeństwo Limanowej. Nieocenione są jego zasługi dla limanowskiej służby zdrowia i całego ówczesnego powiatu. Cieszył się wielkim autorytetem wśród personelu, chociaż warunki lokalowe w szpitalu były nieznaczne.

W ciągu kilku miesięcy po objęciu funkcji dyrektora szpitala przez dr. Józefa Bugaję, pomimo ogromnych trudności udało się ściągnąć do Limanowej młodą kadrę lekarską. Pracę w szpitalu podjęli: lek. Józef Lewek i lek. Celina Jurkowska – Macurowa na Oddziale Chirurgicznym, zaś w 1958 r. dołączyli do nich lek. Zofia Horodyńska – Zielińska na Oddział Położniczo – Ginekologiczny oraz lek. Stanisław Zieliński na Oddział Chirurgiczny. Od roku 1959 pracę w szpitalu podjął lek. Jan Port zatrudniony jednocześnie w Pogotowiu Ratunkowym i lek. Stanisław Joniec prowadzący Oddział Noworodków.

Z Krynicy w 1965 r. przybyła lek. Teresa Bednarek i przejęła obowiązki w szpitalu jako p.o. ordynatora na Oddziale Chorób Wewnętrznych. Po uzyskaniu specjalizacji II stopnia z zakresu chorób



Dr Józef Bugaj przed szpitalem w Sowlinach - lata pięćdziesiąte XX wieku.



W czasie operacji. Od prawej dr Józef Bugaj, pielęgniarka Zofia Odziomek, dr Józef Lewek.

► wewnętrznych została w 1966 r. ordynatorem tego oddziału, a jej zastępcą dr Józef Mück uprzednio pracujący w szpitalu w Nowym Sączu. W tym też okresie w Oddziale pracowała lek. Janina Trzmiel, łącząc pracę w szpitalu i Poradni Rejonowej. W roku 1970 nastąpiła zmiana na Oddziale Ginekologiczno – Położniczym z konkursu ordynatorem został lek. Piotr Kot. Od roku 1967 w Oddziale zatrudnieni byli na etacie asystentów lek. Teresa Ryskała i lek. Andrzej Goryca.

Józef Bugaj szczególnie dbał o pogłębienie wiedzy lekarskiej i uzyskiwanie przez swoich podwładnych specjalizacji, podnosząc tym samym poziom lecznictwa w limanowskim szpitalu.

Należy również wspomnieć o posłudze religijnej dla pacjentów limanowskiego szpitala.

W tych latach na terenie Sowlin nie było kościoła. Ks. Władysław Ryś wystarał się o kaplicę dla młodzieży uczącej się w powstałych szkołach średnich i on został pierwszym kapłanem w nowo utworzonym szpitalu. Po trzech latach wyjechał z Limanowej, a przybył ks. Władysław Ślęk i pełnił pracę kapelana przez 17 lat. Byli to kapelani, którzy nie brali żadnych poborów, a spieszyli z pomocą duchową na prośbę chorych. Po ks. Ślęku powinności kapelana przejął ks. Jan Bukowiec budowniczy kościoła w Sowlinach, który także organizował kaplicę w nowo powstałym szpitalu.

Zmiany zachodzące w kraju i rozwój limanowskiej służby zdrowia wymusiły konieczność budowy nowego szpitala. Pierwsze projekty i założenia techniczne powstały w 1965 roku, a w roku 1968 rozpoczęły się pierwsze roboty na terenie budowy. Lokalizacja szpitala znalazła miejsce na terenach prywatnych i tartaku funkcjonującym jeszcze przed II wojną światową, przy ulicy Krakowskiej (dziś Józefa Piłsudskiego).

Motorem działań związanych z budową szpitala był dr Józef Bugaj wraz ze sprzyjającym tej budowie Prezydium Powiatowej Rady Narodowej i jej przewodniczącym Zbigniewem Macurą. Budowa trwała prawie 10 lat. W grudniu 1976 roku szpital uroczyście został otwarty, w obecności najwyższych władz polityczno-administracyjnych ówczesnego województwa nowosądeckiego. Zagospodarowanie nowego obiektu poprawiło warunki pracy personelu i leczenia chorych.

Na ówczesne czasy był to obiekt nowoczesny, chociaż nie pozbawiony sporej ilości wad konstrukcyjnych i funkcjonalnych, co ujawniło się w toku eksploatacji, ale o tym w innym artykule.

Fotografie: arch. „Echa Limanowskiego”



Przed Ośrodkiem Zdrowia przy ul. Orkana (dzisiaj ul. MBB). Stoją od lewej pielęgniarki: Helena Kurtycz, Bolesława Mycoń, Elżbieta Surdziel. Z przodu: Maria Baczyńska, Barbara Łyczko.



Otwarcie szpitala 16 grudnia 1976 r. Wstęgę przecina ówczesny minister zdrowia Marian Śliwiński, za nim I sekretarz KWPZPR w Nowym Sączu Henryk Kostecki.



Sekretarz Henryk Kostecki przekazuje symboliczny klucz do szpitala Zbigniewowi Markowskiemu, dyrektorowi naczelnemu ZOZ w Limanowej.

Stacja macierzysta Limanowa

To dość znamienne, że dokładne i wiarygodne materiały na temat przemysłu limanowskiego w przeszłości są do zdobycia bardziej poza Limanową, niż w niej samej. No cóż, mało kto dziś zada pytanie, czy na status Limanowej – i jako miasta, i siedziby starostwa – większy wpływ miała stoczona przez naszych zaborców bitwa na Jabłońcu, czy awans cywilizacyjny będący następstwem miejscowej działalności gospodarczej?

Nie chcąc wybrzydzać, a już najmniej ad personam, odwołam się do faktów mniej lub zupełnie u nas nieznanymi, a związanych z dwoma największymi limanowskimi zakładami przemysłowymi. Limanowskimi, bo zarówno starowiejski browar Marsów, jak i zbudowana 3 km od granic miasta sownińska rafineria prezentowały się w świecie nazwą „Limanowa”, nota bene łatwo przyswajalną dla ucha cudzoziemców.

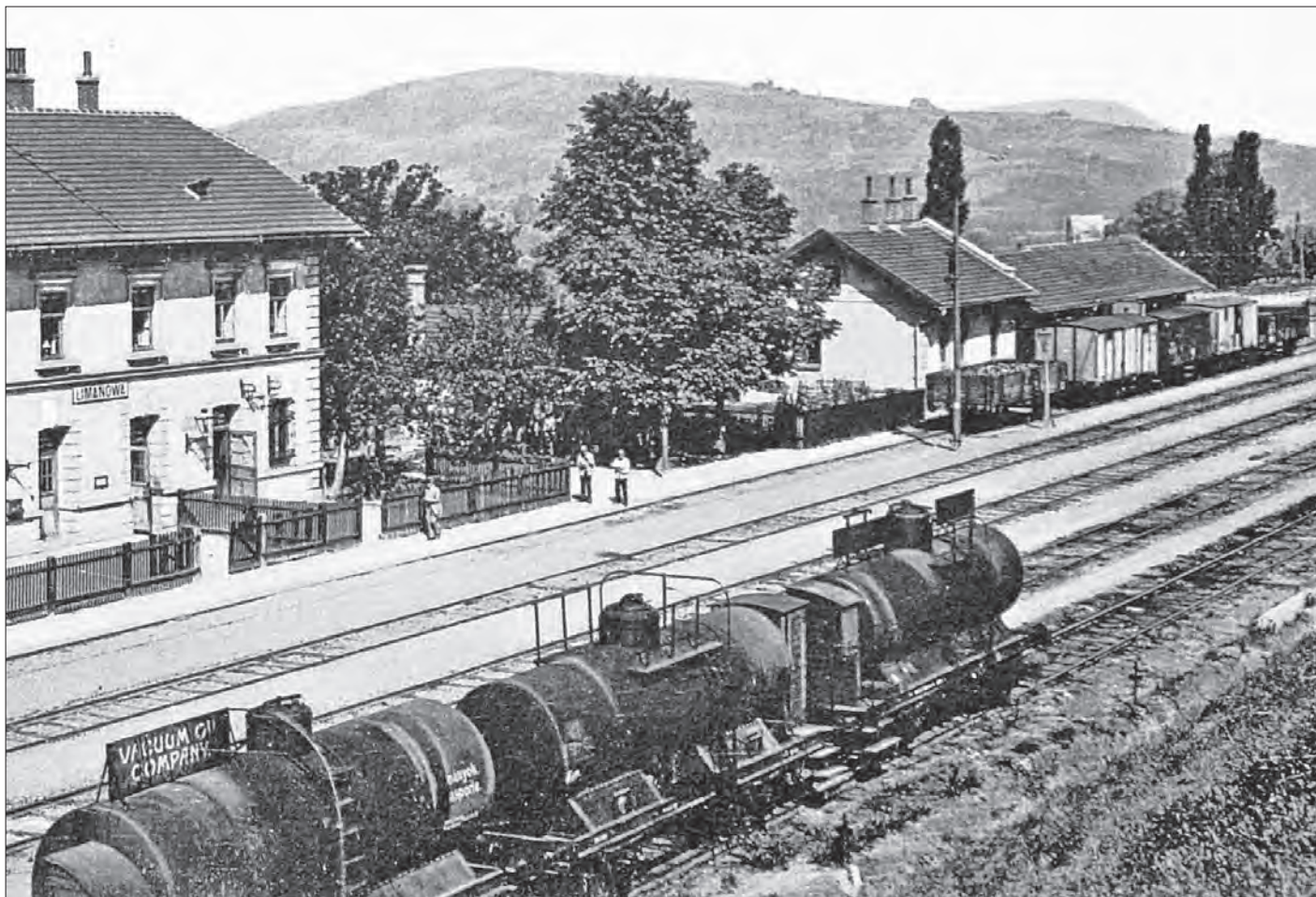
Wróćmy jeszcze do kwestii historycznej dokumentacji – sercem limanowskiej rafinerii była główna kotłownia dostarczająca pary technologicznej i energii, także elektrycznej w okresie międzywojnia oświetlającej również limanowskie miasteczko. Po owym zachowanym prawie do końca XX w. „hajcu” ślad by nie pozostał, gdyby jej technicznego opisu nie dokonał

w 1994 roku mgr inż. Jerzy A. Baliński z Ośrodka Dokumentacji Zabytków Techniki w Warszawie. Zdążył to zrobić ze świadomością, że opisany obiekt nie będzie zachowany, a co nastąpiło już trzy lata później. W warszawskim archiwum pozostał tylko i aż rzetelny zapis informujący m.in. także o wysokości zwalnego w 1997 r. porafineryjnego komina.

Nie będę rzeczy rozwijał, bo pisałem już o tym w „EL”.

W latach 80 – tych, gdy z grupą kolejowych fanów i zezwoleniem ministerstwa komunikacji „na wstęp i dokonywanie zdjęć na terenie PKP” grasowaliśmy po zakazanych enklawach „sztrek” i stacji, miałem zaszczyt poznać p. Krzysztofa Koja z Łodzi, uznawanego powszechnie za najlepszego znawcę wagonów użytkowanych na terenach Polski od czasów najdawniejszych. A olbrzymi to zakres wiedzy.

Niedawno – po trzydziestu latach – udało mi się znowu nawiązać kontakt z Krzysztofem, projektuje obecnie modele wagonów dla renomowanych wytwórni europejskich. Wchodząc na odpowiedni link, znalazłem w internecie w jego opracowaniu model wagonu chłodni z napisem „Tymbark”. Wyraziłem uznanie i żal, że nie „Limanowa” widnieje na wagoniku, jeśli



Wagony piwiarki na widokówce Limanowej sprzed 1914 roku.

– co zaznaczyłem – browar Marsa własne wagony do transportu piwa posiadał.

Dość szybko otrzymałem odpowiedź:

Miał własne wagony, ale inne. Zapewne nie wdziałibyśmy nic na ten temat, gdyby nie likwidacja Browaru Parowego Zygmunta Marsa i Braci w Limanowej w roku 1925. Wtedy bowiem Arcyksiążęcy Browar w Żywcu odkupił od browaru Marsów 3 wagony lodownice do przewozu piwa. Były to wagony „prywatne”, włączone do taboru PKP i oznaczone numerami PKP(A) 530 121, 530 122 i 530 123.

Wagony te zbudowano w Sanoku w roku 1911 (...) wagon 530 122 przetrwał wojnę i po roku 1945 otrzymał numer PKP(B) 0 716 096.

Na znanym zdjęciu (widokówce) stacji w Limanowej, wykonanym jeszcze przed I Wojną Światową oprócz wielu cystern widać na drugim planie 3 wagony piwiarki i jest wielce prawdopodobne, że są to właśnie wagony należące do browaru Marsów.



Rafineria - fragment zakładu - lata międzywojenne. W tle wille pracowników rafinerii.

Przemysłowy Nr. 1292i/2191i.										
Prędkość zasadnicza 20 km.										
Stacje	Czas jazdy	Przyjazd		Postój		Odjazd	Mija pociągi Nr.	Stratony czas jazdy	Konieczne hamowane w %	Przebiegane obc. dla parowozów Serji
		m.	g.	m.	m.					
Limanowa	—	—	—	—	—	12 50	1289A	—	—	—
Tor przem. km. 151:3	10	13 00	10	13 10	—	—	—	10	20	330
Limanowa	18	13 28	—	—	—	—	—	14	—	—
Czas jazdy 0 g. 28 m. Postoje 0 g. 10 m. Razem 0 godz. 38 min.										
Długość linii 5:6 km. Prędkość 8:8 km. na godzinę.										
Przemysłowy Nr. 1294i/1293i.										
Prędkość zasadnicza 20 km.										
Limanowa	—	—	—	—	—	15 18	—	—	—	—
Tor przem. km. 151:3	10	15 28	10	15 38	—	—	—	10	20	330
Limanowa	18	15 56	—	—	—	—	—	14	—	—
Czas jazdy 0 g. 28 m. Postoje 0 g. 10 m. Razem 0 godz. 38 min.										
Długość linii 5:6 km. Prędkość 8:8 km. na godzinę.										
Przemysłowy Nr. 1296i/1295i.										
Prędkość zasadnicza 20 km.										
Limanowa	—	—	—	—	—	16 50	1293	—	—	—
Tor przem. km. 151:3	10	17 00	10	17 10	—	—	—	10	20	330
Limanowa	18	17 28	—	—	—	—	—	14	—	—
Czas jazdy 0 godz. 28 m. Postoje 0 g. 10 m. Razem 0 godz. 38 min.										
Długość linii 5:6 km. Prędkość 8:8 km na godzinę.										

Fragment Służbowego Rozkładu Jazdy PKP z 1927 roku - kursy przemysłowe ze stacji Limanowa do rafinerii.

Gdzie Łódź, gdzie Sanok, gdzie nieczynny od blisko stu lat browar limanowski?! – zakres wiedzy Krzysztofa Koja rzuca na kolana!

Idąc niejako nie za, a przeciw kolejnemu „ciosowi”, spytałem o rafinerię. Ale po kolei – **Societe de Naftę Limanowa** powstała w 1906 r. w Paryżu usytuowała duży zakład przetwórczy na naszym terenie z niewątpliwą nadzieją na odkrycie tu jakichś złóż ropy naftowej, ale produkcję musiało oprzeć o stałą jej dostawę w dużej ilości. A „wielka ropa” – na skalę ówczesnej Europy – najbliższej występowała wokół Borysławia w Galicji Wschodniej. W 1909 r. zagłębie wypracowywało 5% wydobywania globalnego.

Warto tu może przytoczyć losy jednego z najistotniejszych odkrywców „wielkiej nafty” Borysławia, bo to taki Wokulski, któremu się – jak na złość – udało.

Nazywał się Władysław Długosz, pochodził z inteligentnej rodziny z Krakowa. Po ukończeniu inżynierskiej szkoły w Pradze w 1887 r. postanawia zostać „nafcjarzem”. W Siarach koło Gorlic zatrudnia się przy wydobywaniu ropy i szybko awansuje na kierownika kopalni. Jest cenionym fachowcem, z dobrymi perspektywami. Poznaje bliżej Kamilę Dębowską, córkę dziedzica Siar i też nafcjarza. Młodzi mają się ku sobie, ale gdy Władysław idzie prosić ojca o jej rękę, witają go... spuszczone z łańcucha psy podwórzowe!

Zawziął się. Udowodni, co jest wart! Wszystkie oszczędności lokuje w prace poszukiwawcze ropy na własną rękę i... szczęście tym razem go opuszcza. Żegnaj fortuno, żegnaj Kamilo!

Spadły z nieba, jak w bajce, przemysłowiec z Kanady proponuje mu prace poszukiwawcze w rejonie Borysławia, w terenie szczególnie trudnym. Szanse na sukces maleją wraz z funduszami, kolejna plajta wisi w powietrzu, gdy niemal w ostatniej chwili jest! Ropa najwyższej jakości w złożach bardzo bogatych. Splendor dla odkrywcy i odpowiednie



Cysterna francuska z 1902 roku.

profity. Jeszcze tylko Kamila. Jej ojcu nie najlepiej idą interesy. Władysław skrupulatnie skupuje weksle Dębowskiego, ale nie po to, by jak Stanisław Wokulski, ratować ewentualnego teścia przed bankructwem. Bo tym razem to Dębowski poprosi Długosza, by zechciał poślubić Kamilę.

Potem już jest tylko dobrze, dwór w Siarach rozbudowany będzie w okazały pałac w dziesięciohektarowym parku romantycznym – to prezent ślubny dla żony. Ceniony w świecie przemysłu naftowego i szanowany za stosunek do bliźnich w najbliższej okolicy umiera Władysław Długosz w 1937 r. Podczas jego pogrzebu grają syreny rafinerii od Gorlic po Rumunię.

Nie wybrzmiała charakterystyczna, wielotonowa syrena nieczynnej od 1934 r. rafinerii Limanowa. Pod kotłami nie było pary, prąd elektryczny dla miasta wytwarzał potężny diesel, który wcześniej napędzał zapasowy wodociąg fabryczny z Młynego.

Ale wróćmy do czasów rozwoju i prosperity limanowskiej rafinerii. Od Borysławia dzieliło ją 315 km kolejowej trasy, w dużej części górskiej. Trzeba tu też wyjaśnić, że tabor wagonów towarowych austriackich kolei KKStB nie był zbyt zróżnicowany – tworzyły go zasadniczo trzy typy wagonów – otwarte platformy i węglarki oraz dwuosiowe wagony kryte, opatrzone znamionnym napisem – „Acht Pferde oder Achtundvierzig Mann” /*Osiem koni lub czterdziestu ośmiu ludzi*/. Kolej bowiem miała służyć przede wszystkim potrzebom militarnym, a do transportu gospodarczego owszem, jeśli

towar do przewożenia wymienionymi typami wagonów się nadawał. O specjalne wagony do przewożenia materiałów szczególnych musiały się postarać we własnym zakresie odpowiednie podmioty gospodarcze. Oddam jeszcze raz głos koledze Krzysztofowi:

Towarzystwo Naftowe „Limanowa” miało bardzo dużo własnych wagonów cystern, które były włączone jako wagony „prywatne” do parku wagonów towarowych kolei austriackich KKStB, a później do taboru PKP. Potwierdza to wspomniane zdjęcie stacji w Limanowej.

Towarzystwo Naftowe „Limanowa” miało własną kopalnię (tak wtedy mówiono) ropy naftowej w Mrażnicy w powiecie drohobyckim i dysponowanie własnymi cysternami było jak najbardziej uzasadnione. Cysterny były też niezbędne do dystrybucji produktów rafinerii. Znalazłem kiedyś znak firmowy tej rafinerii, który był umieszczany na należących do niej stacjach benzynowych.

Tabor własny rafinerii w Limanowej rozrastał się z biegiem lat i w okresie międzywojennym firma ta posiadała ogółem aż 405 wagonów cystern włączonych do taboru PKP.

Tematem wagonów prywatnych (głównie chłodni i cystern) zajmuje się bardzo poważnie Ariel Ciechański z PSMK. To właśnie dzięki jego ustaleniom było możliwe policzenie cystern należących do limanowskiej rafinerii.

Trzeba tu jeszcze objaśnić kwestię „prywatnych wagonów włączonych do taboru kolei państwowych”. Będąc własnością jakiejś firmy czy osoby fizycznej,

musiały one spełniać warunki jazdy po torach kolei (KKStB lub PKP), dlatego za ich nadzór techniczny odpowiadały służby kolejowe. Same zaś wagony tego rodzaju były wpisane do ewidencji konkretnej stacji określanej jako ich macierzysta. Oczywiście, dotyczyło to wagonów Marsa, jak i rafinerii, a ich ilość znacznie podnosiła rangę stacji Limanowa. Tym bardziej, że ich obrót, zwłaszcza cystern, był duży. Służbowy rozkład jazdy PKP z 1927 roku przewidywał aż 5 razy na dobę „kursy przemysłowe” ze stacji Limanowa do rafinerii.

Do początków trzeciego tysiąclecia zachował się w oryginalnym stanie na terenie byłej rafinerii interesujący konstrukcyjnie egzemplarz francuskiej cysterny specjalnej do przewożenia ciężkich olejów z 1902 roku i dosłownie w przeddzień przekazania przez starostwo za bytku do skansenu w Chabówce został poniesiony na złom (!).

Zdarzyło się, że w 356 r. przed Chrystusem uznany za pierwszego terrorystę świata szewc Herostrates spalił jeden z „siedmiu cudów świata” – Artemizjon w Efezie. Tylko po to, by rozślawić po wsze czasy swe imię, co mu się udało. Niech więc sowliński herostratesik pozostanie nieznanym z imienia i nazwiska, w anonimowej niepamięci.

Cysterna zachowana jedynie na kilku moich zdjęciach mogłaby z napisem „Towarzystwo Naftowe Limanowa” i kolorowym godłem firmy nieźle się prezentować w składach muzealnych pociągów. Żal.

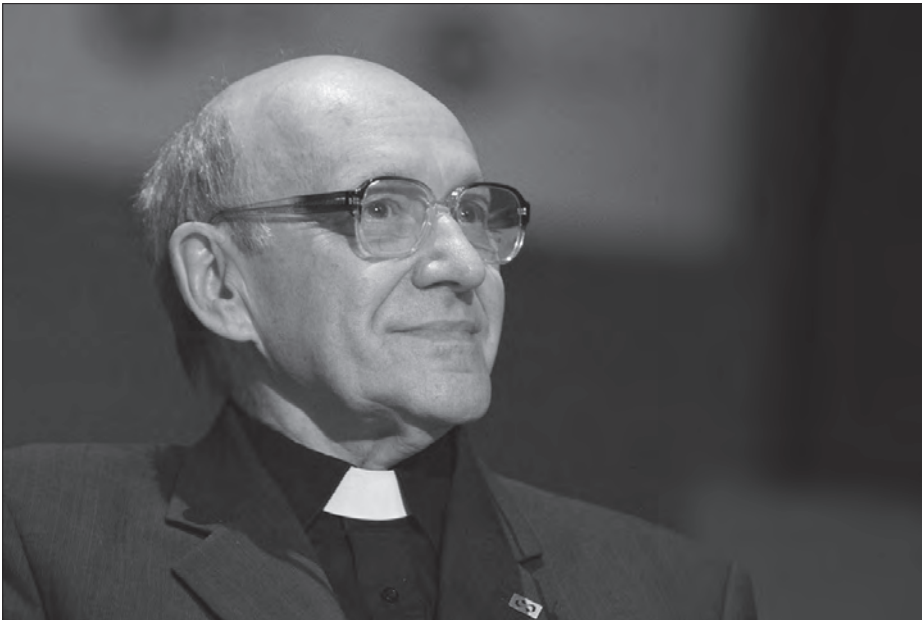
Po wojnie cysterny byłej rafinerii, wówczas już tylko bazy magazynowej paliw CPN zostały jak i cała firma upaństwowione (co nazywano ładnie „nacjonalizacją”, tak jak obecnie nazywa się podobny proceder „repolonizacją”), uległo też zmianie ich oznakowanie – na zunifikowane z napisami „Centrala Produktów Naftowych w Warszawie – Dyrekcja Eksploatacji Cystern”, ale niżej pozostawał mniejszymi literami napis: „Stacja macierzysta Limanowa”.

Przyjemnie było, gdy się w długim składzie cystern kolejowych w np. Gdańsku zauważyło opatrzoną tym usytuowaniem przynależności – taką teoretyczną własność Limanowej w państwie PKP, bo przecież powszechnie w tamtym czasie mówiono, że kolej to „państwo w państwie”.

Fotografie: arch. Zbigniewa Sułkowskiego

Profesor Michał Heller bywa w Pasierbcu od ponad 30 lat

Ksiądz profesor Michał Heller, znakomity uczonej światowej sławy, kawaler Orderu Orła Białego, filozof przyrody, kosmolog i – co oczywiste – teolog, wyznający zasadę, że „nauka daje nam wiedzę, a religia sens” i próbujący znaleźć pomost między nimi, obchodził w ubiegłym roku 80. urodziny. Zaintrygowana sławą fizyka, a także famą bliskiej przyjaźni Michała Hellera z papieżem Polakiem, chętnie skorzystałam z zaproszenia na promocję wydanej z okazji jubileuszu książki pt. „Wierzę, żeby zrozumieć”, w której trzej znamienici krakowianie, współautorzy książki: Wojciech Bonowicz (wcześniej biograf księdza Józefa Tischnera), profesor prawa z UJ Bartosz Brożek i ksiądz dr Zbigniew Liana, starszy wykładowca z Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II, w toku zadawanych pytań, uzyskiwali odpowiedzi księdza profesora na trapiące ich wątpliwości.



Ks. prof. Michał Heller

Spotkanie z jubilatą należało do bardzo udanych. Przyjechali na nie z Krakowa Wojciech Bonowicz i dr Liana, by jeszcze dalej wykazać się dialogiem z księdzem profesorem – człowiekiem niezwykle komunikatywnym, wyrażającym najbardziej skomplikowane kwestie językiem zrozumiałym dla licznych audytorium, a nawet dowcipnym, który na koniec zmierzył się z wielkim tortem od Bliklego, dzieląc go sprawnie i dodając błyskotliwe komentarze.

Dla mnie odkryciem są związki Michała Hellera z Pasierbcem, jako że ksiądz profesor pochodzi z Tarnowa, a stamtąd jest zwyczajowo dość blisko w okolicy Limanowej. Często z racji tej bliskości uczestnicy tarnowskiego

Klubu Inteligencji Katolickiej, powstałego po 1956 roku, pielgrzymowali do sanktuariów w Limanowej i Pasierbcu. Tu w sanktuarium MB Pocieszenia, z dala od miejskiego zgiełku, być może ówczesny alumn odkrył doskonałą przystań do wypoczynku i pracy naukowej. Warto drodze naukowej profesora poświęcić kilka słów.

Matka przyszłego profesora Zofia była z zawodu nauczycielką. Wywodziła się z polskiej rodziny szlacheckiej osiadłej na Ukrainie. Ojciec Kazimierz, Polak z austriacką genealogią, był inżynierem w fabryce nawozów w Mościcach. Miał też humanistyczne zacięcie, był artystą malarzem i poliglotą, co sprzyjało wszechstronnemu wychowaniu Michała i jego czterech sióstr.

Po wybuchu wojny rodzina uciekła do Lwowa, co skutkowało zsyłką na Syberię aż do Jakucji. Po powrocie w 1946 roku do Polski, przyszedł profesor kształcił się na księdza w Tarnowie, przyjmując w 1959 roku święcenia kapłańskie i dalej studiując filozofię na KUL, a fizykę na UJ i tam w 1969 uzyskując habilitację. We współdziałaniu z ówczesnym kardynałem Karolem Wojtyłą i księdzem Józefem Tischnerem młody uczonej współuczestniczył w licznych spotkaniach na temat wzajemnych relacji nauk ścisłych i religii, które potem papież Polak życzył sobie kontynuować w Rzymie. A w Rzymie profesor Michał Heller był uczestnikiem i współorganizatorem chyba większości tych spotkań, konferencji, sesji i sympozjów, zwłaszcza, że od 1981 roku pracował w Watykańskim Obserwatorium Astronomicznym w Castel Gandolfo. Konferencje odbywały się na przemian w Castel Gandolfo i Berkeley w Ośrodku Teologii i Nauk Przyrodniczych (Center for Theology and Natural Sciences – CTNS), a jedna z konferencji przebiegała w Pasierbcu!

W związku bowiem z jubileuszem newtonowskim, a zwłaszcza trzechsetleciem ogłoszenia „Principiów” [„Philosophiae Naturalis Principia Mathematica”] Newtona – co uważa się za umowną datę początku nauk nowożytnych – przygotowano udane interdyscyplinarne sympozjum PPT [„Physics, Philosophy and Theology” – „Fizyka, filozofia i teologia”], które odbyło się w Castel Gandolfo od 21 do 26 września 1987 roku. Poprzedziła je konferencja w Krakowie, współorganizowana z księdzem profesorem Józefem Życińskim (późn. biskupem, potem arcybiskupem). Ostatni dzień tej konferencji jej uczestnicy spędzili 28 maja 1987 roku w Pasierbcu celem opracowania okolicznościowego przemówienia na temat „nauka a wiara”, którym papież zamierzał otworzyć to epokowe sympozjum.

(ciąg dalszy na stronie 37)

W cieniu Mogielicy

Ilona Machowicz – Jurowicz

5 lat Stowarzyszenia

Rekonstrukcji Historycznych 1 PSP AK



Członkowie Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznej 1 PSP AK. Stoją od lewej: Janusz Jurowicz, Robert Boruch, Sławomir Szubryt, Michał Jurowicz. Klęczą od lewej: Konrad Domiter, Paweł Sułkowski, Dawid Golik, Lucjan Kantor, Jakub Kiecik.

Mroźny, grudniowy dzień 2016 roku. Na zboczach Mogielicy, jak siedemdziesiąt lat temu, pojawiają się postacie partyzantów. Niektórzy w mundurach, pochodzących ze zrzutów alianckich lub zdobytych po walce z Niemcami. Przed zimnem chronią ich kożuchy lub grube kurtki. Są dość dobrze uzbrojeni – przygotowują zasadzkę na wycofujący się oddział niemiecki. Po chwili rozlegają się strzały. Równocześnie toczy się potyczka z niemieckim patrolem, który w pogoni za partyzanckim łącznikiem wpadł w zasadzkę, przygotowaną przez sowieckich skoczków.

Te wydarzenia, przypominające czasy II wojny światowej, posłużyły jako scenariusz ćwiczeń członków SRH 1 PSP AK, którzy w ten sposób uczcili pięć lat działalności. W „manewrach” uczestniczyły także zaprzyjaźnione grupy rekonstrukcyjne: GRH Ostheer z Krakowa, Projekt Historyczny „Marusia” oraz GRH GK Edelweiss. Wybrane sceny zostały wykorzystane w filmie promującym Bieg Honoru Virtuti Militari, przygotowanym przez TV Beskid.

Członkowie stowarzyszenia powracają na Mogielicę kilkanaście razy w roku. Istnieją w „jej cieniu”, dziesiątki razy wędrowali jej ścieżkami, po śladach partyzantów, dla których las porastający zbocza góry był drugim domem...

Początki

Historia SRH 1 PSP AK wiąże się z anonsem zamieszczonym na jednym z limanowskich portali internetowych, skierowanym do osób zainteresowanych powstaniem grupy rekonstrukcyjnej – mówi Janusz Jurowicz, jeden z założycieli stowarzyszenia. Podczas pierwszego

spotkania ustaliliśmy, że nasza działalność będzie związana z rejonem Limanowej, gdzie największą formacją partyzancką był 1 PSP AK. Jest to piękna, ale przez kilkadziesiąt lat niedoceniana część historii naszego regionu. Zaczynaliśmy działalność od poszukiwania materiałów, relacji oraz osób, związanych z 1 PSP AK.

Wówczas wielu świadków tamtych dni już nie żyło. Korzystaliśmy z zasobów Internetu. W ten sposób nawiązaliśmy współpracę z dr. Dawidem Golikiem, pracownikiem Oddziału IPN w Krakowie. Stowarzyszenie zostało zarejestrowane w marcu 2012 roku, a już w czerwcu przy współpracy z IPN jego członkowie zorganizowali Rajd Szlakami Żołnierzy 1 PSP AK, którego trasa biegła właśnie ścieżkami Mogielicy.

Gościnne Słownice

W organizację wspomnianego wyżej rajdu zaangażowały się władze Gminy Słownice z wójtem Adamem Sołtysem. Właściwie od początku działalności Słownice stały się dla członków SRH „miecznikiem”, tak jak w czasach II wojny światowej były schronieniem dla partyzantów. Tam mieści się siedziba stowarzyszenia. Przy współpracy z władzami gminnymi oraz Nadleśnictwem Limanowa powstała Ścieżka Historyczno – Edukacyjna 1 PSP AK im. kpt. Juliana Krzewickiego (o czym pisałam w „Echu”). ▶

Jej uroczyste otwarcie odbyło się 20-21 września 2014 roku.

Wiele materiałów związanych z działalnością 1 PSP AK uzyskał Przemysław Bukowiec, członek SRH, nauczyciel historii. W przewodniku opisującym „ścieżkę partyzancką” wyjaśnia: *„Pośród wielu niewiadomych, ciągle stawianych znaków zapytania udało się zgromadzić źródła, dzięki którym można zrekonstruować wycinek historii sprzed siedemdziesięciu lat, która rozegrała się na pograniczu Beskidu Wyspewego i Gorców w rejonie masywu Mogielicy. Nadrzędnymi celami powstania ścieżki historycznej były: chęć przywrócenia pamięci postaciom, miejscom, wydarzeniom, dążenie do wzbudzenia refleksji, a przede wszystkim edukacja młodzieży.* Trasa ścieżki historycznej została przedłużona w następnym roku, dzięki zaangażowaniu kolegi Jarka Oleksego, który przekonał władze Gminy Tymbark do tego pomysłu. Wtedy też powstał kolejny przewodnik autorstwa Przemysława Bukowca, ukazujący działalność konspiracyjną mieszkańców w latach 1939-1945.

Jedną z form ożywienia historii są organizowane rekonstrukcje zrzutów alianckich dla AK. Od lipca do grudnia 1944 roku dokonano kilkunastu zrzutów umundurowania, uzbrojenia, opatrunków i lekarstw w rejonie Szczawy, Zalesia i Dzielca. Dla upamiętnienia tych wydarzeń od grudnia 2013 roku odbywają się inscenizacje na Polankach Szczawskich, natomiast od lipca 2014 roku na Dzielcu – zrzutowisko „Sójka” stanowi jeden z punktów Ścieżki Historyczno – Edukacyjnej 1 PSP AK im. kpt. Juliana Krzewickiego. Organizacją zrzutów zajmują się oprócz SRH 1 PSP AK: władze Gmin Szczawa i Słopnice, Stowarzyszenie Seniorów Lotnictwa Wojskowego RP, Stowarzyszenie Lotnictwa Eksperymentalnego EAA 911 oraz Oddział IPN Kraków.

Żywa historia

Mogielica i Słopnice to serce stowarzyszenia, ale wiele spotkań, prelekcji i pokazów odbywa się poza „macierzystym” terenem. Członkowie SRH współpracują z Muzeum Armii Krajowej w Krakowie, gdzie organizowali prezentacje m.in. podczas „Nocy Muzeów”. Przygotowują na zaproszenie szkół pokazy broni i umundurowania noszonego przez partyzantów, przybliżają realia życia obozowego. Uczestniczą w promocjach publikacji o tematyce związanej

z historią regionu autorstwa m.in. dr. Dawida Golika, Jerzego Wójcika oraz Jerzego Gیزی. Tworzą oprawę filmów, ukazujących losy bohaterów Podziemia Niepodległościowego: „Pilecki” czy „Historia Roja” w sądeckim kinie „Sokół”. Otrzymali również zaproszenie na premierę filmu „Wyklęty”, która odbędzie się w marcu br. Wspólnie z IPN zajmują się organizacją rajdów dla młodzieży. Oprócz wspomnianego już Rajdu Szlakami Żołnierzy 1 PSP AK, który odbywa się co roku w różnych miejscach regionu (ostatnio w Gminie Ropa), grupa uczestniczy w Rajdzie Szlakami Walk o Niepodległość w Gminie Lubień oraz w Mazowieckim Rajdzie Szlakami Żołnierzy Wyklętych. Wspólnie z Oddziałem PTH w Nowym Sączu członkowie stowarzyszenia co roku biorą udział w imprezie „Kolej na Majówkę”. Uatrakcyjnijają podróż pociągami retro z Nowego Sącza do Chabówki, przygotowując inscenizację potyczki partyzantów z Niemcami na trasie przejazdu. Tradycyjnie też biorą udział w obchodach Święta Wojska Polskiego w Miasteczku Galicyjskim. Współpracują ze Stowarzyszeniem Odra-Niemen Małopolska w organizacji zrzutów oraz Rajdu Cichociemnych. Uczestniczą w ogólnopolskich spotkaniach grup rekonstrukcyjnych: w Małopolskim Pikniku Lotniczym w Muzeum Lotnictwa w Krakowie oraz w niepołomickich „Polach Chwały”.

Stowarzyszenie współpracuje z Fundacją „Pamięć”, która zajmuje się przeprowadzaniem ekshumacji ciał żołnierzy poległych podczas II wojny światowej i opieką nad ich mogiłami. Członkowie SRH ustalili miejsce zbiorowego pochówku Niemców, którzy zginęli w potyczce z Armią Czerwoną. Towarzyszyli również przy pracach ekshumacyjnych w Laskowej – Jeziernik.

Najbardziej widowiskową część działalności stanowią rekonstrukcje historyczne. *Jesteśmy grupą rozpoznawalną w Polsce południowej i na Śląsku. Posiadamy profesjonalną kolekcję uzbrojenia historycznego – broń palną używaną podczas II wojny światowej przez wszystkie strony konfliktu – wypowiada się Janusz Jurowicz. Każdy z członków posiada pełne umundurowanie partyzanckie oraz uzbrojenie. W ramach stowarzyszenia działają sekcje niemiecka i sowiecka. Powstanie ich było związane z oczekiwaniami osób uczestniczących w pokazach. Często podczas prezentacji pytano mnie,*

jak wyglądało uzbrojenie i umundurowanie strony przeciwnej. Ponadto jesteśmy samowystarczalni; możemy przygotować rekonstrukcję potyczki, zasadzki czy ataku na określoną placówkę. Chętnie współpracujemy też z innymi grupami. Udział w rekonstrukcjach to możliwość kontaktu z historią ożywioną. Ubranie munduru, przejście kilka kilometrów z bronią jest czymś niepowtarzalnym. Dużą satysfakcję daje mi również zaangażowanie synów, którzy poprzez uczestnictwo w rekonstrukcjach uczą się kochać naszą historię i podziwiać jej bohaterów.

Po pięciu latach...

Przez pięć lat działalności stowarzyszenia przeszły istotne zmiany. Powiększyła się liczba członków. Udało się skompletować profesjonalne umundurowanie i wyposażenie oraz broń kolekcjonerską. Znacznie poszerzył się zakres działalności. *W pierwszym roku istnienia organizowaliśmy kilka imprez, natomiast w 2016 roku było ich ponad trzydzieści. – podsumowuje prezes Sławomir Szubryt. Mocno angażujemy się w edukację młodzieży, organizujemy pokazy, prelekcje, rekonstrukcje i inscenizacje. Pragniemy, aby pamięć o żołnierzach 1 PSP AK nie zaginęła. Ta działalność, będąca jednocześnie pasją, wymaga poświęcenia swojej ilości czasu wolnego, gdyż na co dzień pracujemy w różnych zawodach. Często odbywa się to kosztem życia rodzinnego, choć staram się, aby w wyjazdach uczestniczyły dzieci i żona. Mój starszy syn z radością i dumą bierze udział w niektórych rekonstrukcjach.*

W obecnym roku w Słopnicach powstanie Izba Pamięci, w której znajdą się eksponaty, związane z działalnością partyzancką. Wiele pamiątek przekazałi mieszkańcy, którzy w rodzinnych gospodarstwach zachowali zdjęcia, dokumenty, przedmioty używane w obozach oraz elementy uzbrojenia. Członkowie SRH wystąpili również z wnioskiem do Rady Miasta Limanowa, aby nazwa nowo powstałego ronda na skrzyżowaniu ulic: Piłsudskiego, Witosa i Krakowskiej upamiętniała żołnierzy 1 PSP AK.

Skromne obchody pięciolecia grupy odbyły się 18 lutego br. w „mateczniku” SRH w Słopnicach. Stały się okazją do spotkania dla członków i przyjaciół stowarzyszenia – osób, dla których Przeszłość, Ojczyzna, Honor, Pamięć „...nie są czczym wiatrem słów, ale coś znaczą” (L. Staff).



Manewry na Mogielicy - grudzień 2016

Fotografie: Mateusz Franczyk - limanowa.in



Z okazji pięciolecia działalności Redakcja „Echa Limanowskiego” gratuluje osiągnięć oraz życzy realizacji nowych planów w kolejnych latach.





Fot. 1

Obrazy Artura Struzika



Fot. 2



Fot. 3

- Fot. 1 - Ulica Zielona zimą - 1987 r.
- Fot. 2 - Stara Limanowa, ul. Krakowska - 2005 r.
- Fot. 3 - Kwitnące irysy
- Fot. 4 - Nieistniejące domy na „Kamieńcu” - 2010 r.
- Fot. 5 - Pejzaż z Krynicy - 2008 r.
- Fot. 6 - Kwitnąca poinsecja - 2005 r.
- Fot. 7 - Dom przy ulicy Zielonej - 2005 r.
- Fot. 8 - Portret żony - 2007 r.
- Fot. 9 - Zachód słońca



Fot. 4



Fot. 5

Fotografie: Stanisław Ociepka



Fot. 6



Fot. 7



Fot. 8



Fot. 9



Producent Środków Czystości
od 1991 roku



Naturalna czystość



Profesor Michał Heller bywa w Pasierbcu od ponad 30 lat



Księża profesorowie na wakacjach. Michał Heller (z lewej) i Janusz Mączka.

Oprócz Geoga Coyne'a (dyrektora Obserwatorium Astronomicznego w Castel Gandolfo) i Michała Hellera (Papieska Akademia Teologiczna w Krakowie) oraz Józefa Życińskiego, w zespole znaleźli się uczeni tej miary, co Robert Russel (CTNS), Arthur Peacocke (Ian Ramsey Center, Oxford), Michael Buckley (prof. teologii) i Bill Stoeger (Specola Vaticana). Gotowy tekst exposé przekazano do Sekretariatu Stanu w Watykanie, który jednak uznał go za zbyt długi i – mimo koniecznych akapitów w matematycznej precyzji – Coyne zgodził się na dalsze skróty.

Sympozjum uwieńczył tom „Physics, Philosophy and Theology: A Common Quest for Understanding”, w skrócie PPT, dalsze spotkania nabrały rozmiarów międzykontynentalnych i obrodziły następnymi tomami z wynikami badań i przemyśleń.

Oprócz tak spektakularnego wydarzenia również studenci profesora Hellera bardzo lubili seminaria w Pasierbcu. Odbywały się tam także warsztaty filozofii przyrody i nauk przyrodniczych (7-9. 10. 2007) i kolejne Seminaria Filozofii Przyrody i Filozofii Nauki (19. 04. 2008 i 6. 06. 2009), a i niektóre wstępy do książek były napisane przez księdza Hellera w Pasierbcu.

No i owiane legendą wakacyjne wypady do Pasierbca, często z księdzem profesorem Januszem Mączką, dziekanem Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, który w artykule pt. „Wakacyjne zapiski” w dodatku jubileuszowym „Tygodnika Powszechnego” o księdzu Hellerze [nr 12 (3480) z 20. 03. 2016] pisał m. in.: *Najpierw wybór miejsca: blisko las, ale w zasięgu internetu. Potem szczegółowy plan pobytu, samochód załadowany książkami i drewniana laska do spacerów. Przygotowania do urlopu zawsze wyglądały tak samo.*

Prawie wszystkie dni miały podobny program, jak w porządnym klasztorze. Na przykład: śniadanie o 8; wcześniej eucharystia, choć mogła być też w południe lub wieczorem (zależało od gospodarza miejsca). Do 10 umysł był najbardziej świeży, więc można było skupić się na problemach matematycznych, rozwiązać parę zadań. Obiad najczęściej bliżej 13, po nim następował obowiązkowy rytuał – sjesta. O 16 kawa. Potem, jeśli nie było mszy św., to albo kolejny spacer, albo praca na miejscu, aż do kolacji, która była o 19. Po kolacji do 22 znowu praca lub ostatnie wyjście w teren. Zawsze zabieraliśmy ze sobą lepszą książkę (lekturę do

łóżka). Dobra powieść, kryminał, ciekawe opowiadanie. Przed tym jednak odrobinę wieczornego czasu spędzaliśmy za sterami komputerowego symulatora lotu. Było to częścią pasji, która u Michała najprawdopodobniej zrodziła się z fascynacji lotnictwem i radością samego latania. (...) Na wakacje wyjeżdżaliśmy uzbrojeni w mapy terenu i wyszukiwaliśmy miejsca, do których warto zrobić dłuższą wycieczkę. Podczas dwutygodniowych pobytów przynajmniej raz chcieliśmy wyjechać na cały dzień. Kryterium oceny wartości mijanych miejscowości było zidentyfikowanie w niej księgarni. Podczas jednego z dojazdów do Pasierbca niedaleko Limanowej (stałego miejsca nie tylko naszych wakacyjnych, ale także naukowych wyjazdów), przejeżdżając obok lotniska w Łososinie byliśmy świadkami niecodziennego zdarzenia. Lotnisko w Łososinie jest małe, właściwie sportowe o nawierzchni trawiastej, z dość dziurawym ogrodzeniem. Cieszyło nas (trochę jak dzieci), gdy mogliśmy być świadkami lądowania lub startu jakiegoś samolotu. Akurat podchodził do lądowania mały samolot, który chwilę wcześniej wyciągnął z lotniska szybowiec. Jechaliśmy dość wolno, nie chcąc przegapić momentu lądowania. W chwili, gdy samolot był już bardzo nisko, przez dziurę w płocie na lotnisko wszedł starszy człowiek, spokojnie prowadząc rower z zawieszoną przy nim kosą. Dziura w ogrodzeniu należała do tradycyjnych skrótów miejscowej ludności, ścieżka była pięknie wydeptana. Pilotowi jakoś udało się ominąć rowerzystę, ale po wylądowaniu, nie wyłączając nawet silników maszyny, pobiegł do niego i, jak przypuszczaliśmy, nastąpiła niekonwencjonalna wymiana zdań. Do domu zawsze wracaliśmy wlokąc się po drodze w przekonaniu, że dzięki temu choć trochę przedłużymy nasze wakacje. Uporządkowany czas wyjazdów zawsze owocował fragmentem książki, artykułem albo przygotowanym referatem. Nie mniej ważne były plany na przyszłość. Rodziły się pomysły i sposoby ich wykonania. Zarówno dla Michała, jak i dla mnie czas wakacyjnych podróży zawsze był inspirujący, twórczy i pouczający.

Elżbieta Wojtas-Ciborska
Fotografie: Internet

Dr Mieczysław Mycoń, chirurg, żołnierz AK, pionier limanowskiej służby zdrowia

Mieczysław przyszedł na świat 31 stycznia 1905 roku w Bagienicy w powiecie Dąbrowa Tarnowska, jako syn Józefa i Heleny z domu Wójcicka. Ojciec Józef pochodził z rodziny małorolnego chłopca z Dobrej, ukończył Wydział Prawa w UJ, pracował w administracji, jako urzędnik, zajmował się podatkami w Żywcu, Dąbrowie Tarnowskiej i Tarnowie. W 1936 roku przeszedł na emeryturę i powrócił w rodzinne strony do Dobrej, gdzie zmarł w 1938 roku. Matka Helena była gospodynią domową ukończyła jedynie szkołę powszechną ¹.

Mieczysław Mycoń rozpoczął edukację najpierw w 3 klasowej szkole powszechnej w Dąbrowie Tarnowskiej, następnie ukończył 8 klas gimnazjum w Tarnowie, a w 1931 roku Wydział Lekarski w UJ, uzyskując stopień dr. medycyny. W tym samym roku podjął pracę w Szpitalu Bonifratrów w Krakowie, gdzie był chirurgiem, aż do wybuchu wojny w 1939 roku. Wojna zastała go w Dobrej, w której pozostał i spędził całą okupację, wykonując obowiązki lekarza do spraw ogólnych.

Posiadał liczne rodzeństwo. Brat Władysław zginął w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku, siostra Helena, dr filozofii, ukończyła Wydział Filozoficzny UJ, pracowała jako profesor j. polskiego w Seminarium Nauczycielskim w Tarnowie. Wanda

studiowała na Wydziale Filozoficznym UJ, lecz wojna przerwała jej studia, Jadwiga po mężu Cikowska, ukończyła Wydział Lekarski w UJ, zamieszkała wraz z mężem w Warszawie, gdzie wykonywała zawód lekarza, Irena uzyskała magisterium na Wydziale Filozoficznym UJ, wyszła za mąż w trakcie studiów, przyjmując nazwisko Bulasa, okupację wraz z mężem przeżyła w Krakowie. W 1945 roku wraz z mężem wyjechała do Włoch, mieszkali w Rzymie, gdzie mąż był kierownikiem Biblioteki Polacca, skąd w 1947 wyjechali do USA, osiadając w Texasie. Siostra Zofia ukończyła Wydział Chemii na politechnice, jako inżynier pracowała do wybuchu wojny w Mościcach ².

W okresie okupacji opiekował się rodzeństwem, które aby przetrwać osiadło



Mieczysław Mycoń (1905-1958)

wraz z nim w Dobrej. Wspólnie zamieszkiwał z siostrą Heleną, Wandą, Zofią i matką. Siostra Wanda wyszła z domu w 1941 roku i wszelki ślad po niej zaginął. Na nic zdały się czynione poszukiwania. Jako lekarz zaskarbił sobie wdzięczność mieszkańców Dobrej i okolicznych miejscowości, pomagając im bezinteresownie w ciężkich okupacyjnych czasach. Ceniono sobie szczególnie jego fachowość i ofiarność w niesieniu pomocy potrzebującym. Wszedł w struktury konspiracyjne Komendy Obwodu ZWZ-AK Limanowa, pełniąc funkcję lekarza, przyjmując pseudonimy „Czarny”, „Wujek”, „Mietek”. Udzielał pomocy wszystkim potrzebującym, zarówno partyzantom ranym w potyczkach z Niemcami z 1 PSP AK, BCH jak i z oddziału płk. Zołotara. Dzięki całodobowej przepustce uzyskanej od Niemców mógł się swobodnie bez przeszkód poruszać w dzień i w nocy. Przemieszczał się w rejonie górskim zwłaszcza konno. Zorganizował Izbę Chorych dla 1 PSP AK, leczył też chorych w pobliskiej Kamienicy.



Bolesława Mycoń (pierwsza z prawej) w czasie polowania Koła Łowieckiego „Jaworz” - 1948 rok.



Przed Ośrodkiem Zdrowia przy ulicy Szwedzkiej stoją od lewej lekarze: Mieczysław Mycoń, Kazimierz Leśniakiewicz, Edward Merkowski - lata czterdzieste XX wieku.

W parę miesięcy po wejściu Armii Czerwonej 3 kwietnia 1945 roku został powołany do służby wojskowej, został kierownikiem Oddziału Chirurgicznego w 66. ewakuacyjnym szpitalu w Poznaniu, następnie kierownikiem chirurgii Szpitala Garnizonowego w Koszalinie i chirurgiem Dowództwa Okręgu Wojskowego w Toruniu, skąd został zdemobilizowany. Odszedł z wojska w stopniu majora w kwietniu 1947 roku.

Powrócił na teren powiatu limanowskiego, przybył do Limanowej, zamieszkał w Sowlinach, wszedł w skład pionierskiej grupy nielicznych lekarzy organizujących służbę zdrowia. Został mianowany w 1947 roku dyrektorem nowo powstałego Szpitala Powiatowego im. Henryka Dobrzyckiego w Limanowej, kierując nim do końca grudnia 1951 roku. Żona Bolesława od 1951 roku pracowała również w szpitalu jako położna, a po odejściu była położną w Dobrej. Nie będąc dyrektorem, nadal pracował w Szpitalu Powiatowym jako chirurg, pracował też w Ośrodku Zdrowia w Limanowej (1951-1953). W 1948 roku został też Kierownikiem Ośrodka Zdrowia w Dobrej. Po śmierci dr. Edwarda Merkowskiego przejął obowiązki lekarza od 1 września 1953 roku w PUBP w Limanowej³.

Przez okres pracy na terenie Limanowej pozostawał nie związany z żadną partią polityczną, nie uczestniczył w życiu politycznym ani społecznym, pracując jedynie nad podniesieniem kwalifikacji zawodowych. W chwilach wolnych zajmował się eksperymentowaniem na roślinach, w tym celu wydzierzawił 1,5 ha ziemi, na której przeprowadzał swoje doświadczenia. Był cenionym za fachowość i kompetencje

w zawodzie chirurga. Niestety, dawała o sobie znać coraz bardziej pogłębiająca się choroba u dr. Myconia, będąca niewątpliwie następstwem wojny i przeżyć związanych z okupacją hitlerowską.

W maju (26) 1954 roku Egzekutywa KP PZPR w Limanowej analizowała pracę służby zdrowia na terenie powiatu limanowskiego, na podstawie sporządzonej oceny przez dr. Zbigniewa Lewickiego z Komisji Wydziału Zdrowia Prezydium WRN w Krakowie. Oceniano też funkcjonowanie służby zdrowia na terenie Limanowej. Poddano ocenie wszystkich limanowskich lekarzy: dr. Leśniakiewicza, dr. Dąbrowskiego, dr. Hłynia i dr. Myconia. W trakcie dyskusji wywiązanej na wspomnianej Egzekutywie stwierdzono, że dr. Mieczysław Mycoń nienależycie wypełnia obowiązki lekarza. Sprecyzowano względem niego cały szereg zarzutów, m. in. zły stosunek do pacjentów, nie przestrzeganie godzin pracy w Ośrodkach Zdrowia w Dobrej i Limanowej, kierowanie do szpitala ludzi bez badania, zdarzające się błędy w stawianiu diagnoz. W związku z powyższym Egzekutywa KP PZPR w Limanowej postanowiła odsunąć dr. Myconia od leczenia w Limanowej, a pozostawić mu jedynie kierowanie pracą w Ośrodku Zdrowia w Dobrej. Wydział Zdrowia Prezydium WRN w Krakowie skierował sprawę dr. Myconia do Komisji Kontroli Zawodowej, o czym informowała Kierownik Kadr i Szkolenia Paulina Korn pismem z lipca (31) 1954 roku. Przeciwko niemu wysunięto podobne zarzuty, m.in. brak poczucia obowiązku i dyscypliny pracy, niewłaściwe podejście do pacjenta (skargi kierowane przez pacjentów do PRN w Limanowej). W powyższym piśmie podkreślono, że dr. Mycoń bezinteresownie leczył ludzi, że był dobrym i zdolnym chirurgiem dzięki czemu pozyskał sobie sympatię wielu ludzi w powiecie, zaskarbiając ich wdzięczność, którzy niechętnie wydawali o nim złą opinię. Pozostawiono mu jedynie kierownictwo Ośrodka Zdrowia w Dobrej, które sprawował do śmierci.⁴

Opierając się na decyzji wspomnianej Egzekutywy, Naczelnik Wydziału Zdrowia WUBP w Krakowie dr med. kpt Stanisław Stawowiak zawniósł o natymiatowe zwolnienie dr. Myconia ze stanowiska lekarza w PUBP w Limanowej, co nastąpiło 30 listopada 1954 roku.⁵

Zmarł 27 listopada 1958 roku w Dobrej, gdzie spoczywa na cmentarzu parafialnym.

Fotografie: arch. „Echa Limanowskiego”

¹ Do chwili złożenia w redakcji „Echa Limanowskiego” niniejszego tekstu autor nie otrzymał teczek Mieczysława Myconia z Instytutu Pamięci Narodowej w Szczecinie.

² Mycoń Mieczysław-akta osobowe nr 6798, 057/9, IPNKr, s.1-67.

³ Tamże; Sprawozdanie z działalności Ośrodka Zdrowia w Dobrej za 1948, 1949 i za okres od 1 I 1950 do dnia 30 VI 1950, UWII-2755, Archiwum Narodowe w Krakowie (dalej ANKr), s. 191, 317, 445.

⁴ Protokół z posiedzenia Egzekutywy KP PZPR w Limanowej, która odbyła się w dniu 26 V 1954 r, 29/2217/61, ANKr, s.437-443. Na wspomnianej egzekutywie limanowską służbę zdrowia reprezentowali: Piątkowski - kierownik Wydziału Zdrowia PRN, Jerzy Rachwał - dyrektor Szpitala Powiatowego w Limanowej, Liszka - zastępca Dyrektora Szpitala, zaś Wydział Zdrowia WRN w Krakowie: dr Czaplicki, dr Zbigniew Lewicki, Orłowska.

⁵ Mycoń Mieczysław-akta osobowe nr 6798, 057/9, IPNKr, s.66-67. Paulina Korn Kierownik Kadr i Szkolenia WRN w Krakowie podawała, że dr. Mieczysław Mycoń w 1952 roku został ukarany przez Sąd Dyscyplinarny Wydziału Zdrowia WRN w Krakowie.

Wspomnienia Alicji Łuka z domu Wrona – cz. 2

Okres krakowski, lata 1976-1980 Szkola średnia (LO i Szkoła Muzyczna) w Krakowie

Po ukończeniu z wyróżnieniem Szkoły Podstawowej nr 2 i Szkoły Muzycznej I stopnia w Limanowej również z wyróżnieniem, udałam się na dalszą naukę do Krakowa. Naukę podjęłam w średniej szkole muzycznej II stopnia na kierunkach: Fortepianu i Rytmiki oraz w X Liceum Ogólnokształcącym im. Edukacji Narodowej. Uczniowie, którzy ukończyli szkoły podstawowe z wyróżnieniem, zasługiwali na przyjęcie do szkół średnich bez egzaminów. Jednak nabór tak do średniej szkoły muzycznej, jak i do X LO był tak wielki, że każdy musiał przejść egzamin *solo* przy osobnej komisji.

Egzamin do średniej szkoły muzycznej poszedł mi bardzo dobrze. Dostałam się na 3 rok 6-letniej szkoły. Byłam bardzo szczęśliwa. W egzaminie towarzyszyła mi moja nieoceniona profesorka fortepianu i dyrektorka szkoły muzycznej I stopnia w Limanowej p. Aleksandra Zielińska-Pałkowa. Było to wielkie odciążenie dla moich zapracowanych Rodziców.

W egzaminie do X Liceum Ogólnokształcącego towarzyszyła mi moja starsza siostra Helena, obecnie Wrona-Polańska, prof. psychologii na Uniwersytecie Pedagogicznym¹. Egzamin poszedł mi dobrze i od września mogłam się stawić do szkoły.

Wychowawczynią moją w liceum była pani profesor Barbara Sądag. Była to osoba o bardzo dużej wiedzy i głębokiej uczuciowości. Chodziłam do klasy żeńskiej. Nie był to akurat czynnik, który dobrze wpływał na atmosferę w klasie, ale ze wzlotami i upadkami w kontaktach koleżeńskich udało się przebrnąć rok po roku. Nauka sprawiała mi bardzo dużo radości i dzięki Bożej pomocy i mojemu zaangażowaniu ukończyłam X Liceum Ogólnokształcące im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie z wyróżnieniem.

Chciałabym przy tej okazji wspomnieć koleżanki, z którymi bardzo dobrze się rozumiałam: Lucynę Walkowską, Alę Szyszko-Bohusz, Ewę Piwińską i Ewę Szpunar, z którą do dziś utrzymuję kontakt listowy. Koleżanki ze średniej szkoły muzycznej to śpiewaczki Ania Kolankowska i Ewa Pacyga, Małgosia Janik – pianistka oraz pochodząca z Limanowej Dorota Joniec, córka wspaniałego lekarza pediatriy dr. Stanisława Jońca i jego żony².

W średniej szkole muzycznej miałam bardzo dużo zajęć. Najwięcej czasu wymagał fortepian główny, który prowadziła ze mną Pani Prof. Małgorzata Śmietanowa. Rozumiała to bardzo dobrze, że studiuje jeszcze główną rytmikę i jeżeli nie byłam na lekcji 100-procent przygotowana, nie brała mi tego za złe. Od czasu do czasu pytała mnie tylko: „Masz jakąś dwójkę (wtedy najgorszy stopień szkolny) w liceum?”. Odpowiadałam: „nie mam” i już mnie więcej nie pytała. Czuli się uspokojona.

Po czterech latach nauki ukończyłam szkołę muzyczną (z wyróżnieniem) i liceum (również z wyróżnieniem). Gdy przyniosłam do sekretariatu Szkoły Muzycznej świadectwo z paskiem, pani Pyciowa – sekretarka (mama pani Małgorzaty



Alicja Wrona - Łuka w czasie studiów.

Śmietanowej) prawie omdlała z wrażenia. Powiedziała do mnie: „Dziecko, jak ty to zrobiłaś, przecież to morderczy wysilek, nic nie mówiłaś, że masz same piątki” (wtedy najwyższy stopień). Ja odpowiedziałam: „Pani Profesor pytała mnie, czy mam dwóję, to odpowiedziałam, że nie mam, nie lubię się chwalić.” Był to bardzo przyjemny dzień w moim życiu...

Nie wspominałam jeszcze z okresu średniej szkoły rzeczy prawie najważniejszej. Otóż jednym z przedmiotów teoretycznych był solfeż i harmonia. Prowadził go prof. Franciszek Widelka, genialny człowiek. Na wykłady do niego chodził również młody, przystojny blondyn – organista o nazwisku Łuka. Bardzo często mnie pytał, czy miałabym może ochotę pójść do filharmonii na piątkowy koncert, ponieważ ma dodatkowy bilet, bo ktoś odmówił. Chociaż byłam bardzo zajęta, ale chętnie przystawałam na jego propozycję i zawsze oddawałam mu za bilet pieniądze, chociaż on nie bardzo tego chciał. Z czasem okazało się, że był to tylko chwyt, żeby być



Alicja Wrona z przyszłym mężem Andrzejem.

bliżej mojej osoby. Andrzej zaprosił mnie na swoje imieniny w dniu 30 listopada 1976 r. i odtąd staliśmy się parą, a w kilka lat później małżeństwem. Był to bardzo piękny okres w naszym życiu, tak jak i późniejsze ... lata.

Studia w Akademii Muzycznej w Krakowie, lata 1980-1985

Przejściem ze średnich szkół do Krakowskiej Wyższej Szkoły Muzycznej były egzaminy wstępne do tejże szkoły. Przed nimi miałam wielki respekt. Jakkolwiek profesorowie średnich szkół byli bardzo mądrzy i utalentowani, to spotkania jeszcze w Szkole Muzycznej im. Władysława Żeleńskiego przy ul. Basztowej nr 9 z całą plejadą doktorów, docentów i profesorów z Krakowskiej Wyższej Szkoły utwierdziło mnie w przekonaniu, iż moje zdolności są tak minimalne, że nie powinnam się porywać chociażby na egzaminy na jakkolwiek wydział i kierunek muzyczny, już nie mówiąc o najtrudniejszym I Wydziale Teorii, Kompozycji i Dyrygentury. Im bliżej było egzaminów, tym bardziej czułam się ogólnym analfabetą. Przygotowałam się z tego trochę, z tamtego trochę i czekałam na niechybną katastrofę... Trudno mi odtworzyć kolejność i ilość egzaminów, w każdym razie było ich dużo...

Jakież było moje zdziwienie i szczęście, kiedy czytając listę ogłaszającą wyniki sama sobie nie wierząc przeczytałam, iż dostałam się na ten właśnie I wydział i to z najwyższą punktacją. Moje szczęście mieszało się razem z zachwytem, aż w końcu poszłam podziękować za ten wielki dar Panu Bogu i Matce Najświętszej do Kościoła Mariackiego.

Od października rozpoczęły się regularne studia. Profesorami naszego roku byli: prof. dr hab. Krzysztof Penderecki, prof. Marek Stachowski, prof. Krystyna Moszumańska-Nazar, prof. Bogusław Schaffer. To lista kilku tylko z wielu kompozytorów. Harmonię prowadziła dr Maria Fieldorf, dr Anna Małecka, prof. Aleksander Frączkiewicz i literaturę muzyki wykładała dr Chłopicka i doc. dr Maria Dziembowska.

Bardzo trudnym przedmiotem, trwającym przez 4 lata, była instrumentacja orkiestrowa, czyli rozpisywanie utworu fortepianowego na orkiestrę symfoniczną. Mając szczęście, jak już nie raz w moim życiu bywało, dostałam się do genialnego kompozytora prof. Krzysztofa Pendereckiego. Od pierwszej lekcji przypadliśmy sobie do gustu. Profesor wykładał materiał tak doskonale, że nie trzeba było prosić o powtórzenie kwestii, bo sprawa od razu była jasna. Jako czynny kompozytor i dyrygent, często wyjeżdżał na koncerty z orkiestrą. Wtedy dostawaliśmy całą furę materiału do zinstrumentowania. Często były to ciężkie czasy ze względu na nadmiar pracy, ale po przyjeździe prof. Penderecki był prawie zawsze zadowolony, a szczególnie na egzaminie zawsze wyrażał zadowolenie ze swoich dwóch studentek i ich prac. I jeszcze jedno: z całej uczelni tylko ja i Małgorzata Bartecka dostałyśmy tego zaszczytu: uczyć się warsztatu instrumentacji orkiestrowej u takiego wielkiego geniusza.

Drugim geniuszem, którego chciałabym tu wspomnieć, był prof. Aleksander Frączkiewicz. Wykładał przedmioty ściśle teoretyczne, jak kontrapunkt, harmonia i fuga. We środę w jednym ciągu mieliśmy 5 godzin lekcyjnych (45 min każda). Prof. Frączkiewicz wykładał tylko kwintesencję, przeplatana dowcipami, w każdym razie – po 30 minutach cały program był zakończony. Wtedy padało sakramentalne pytanie profesora: „Wiecie może, jak długo mamy mieć razem zajęcia?” My oczywiście odpowiadaliśmy: „Nie wiemy”, na to prof.: - „Słuchajcie, a kto to może wiedzieć”, my na to: - „Nie mamy pojęcia.” I profesor z pięknym uśmiechem od ucha do ucha wysyłał nas do domu. Trzeba tutaj zaznaczyć, iż prof. Frączkiewicz, chociaż miał już 85 lat, był w swojej wiedzy i humorze niezastąpiony.

Fortepianu uczyła mnie nieprzeciętna w swojej wiedzy i muzykalności prof. Maria Szyłska-Kaszycka – uczennica Zbigniewa Drzewieckiego z Warszawy, później studiował u p. prof. Marii Szyłskiej-Kaszyckiej mój mąż Andrzej. Pani prof. Szyłska-Kaszycka nauczyła nas takiej techniki, muzykalności i odwagi w podejściu do utworu, że jesteśmy jej oraz jej mężowi Jerzemu Kaszyckiemu, redaktorowi w Krakowskiej Telewizji, bardzo wdzięczni. Pan redaktor Kaszycki skomponował specjalnie dla nas *Hymn do miłości* na głos z organami oraz 6 psalmów z tekstami z Nowego Testamentu również dla mnie i mojego męża.

Osobą, której nie zapomnę nigdy była pani redaktor Krystyna Moszumańska-Nazar. Dawała mi lekcje kompozycji. Jej uwagi i pomysły kompozytorskie zapamiętam na zawsze. Wspominam bardzo przyjemnie naszą grupę studencką, studiującą Teorię, Kompozycję i Dyrygenturę, z której nikogo nie chcę wyróżniać, ale niezjący już Paweł Skąpski, syn wybitnych artystów, projektantów witraży zasługuje na to chociażby ze względu na jego nieprzeciętny humor. Otóż Paweł lubił wymyślać m.in. wstępy do przedmowy, np.: *Z tego miejsca ... jestem wzruszony!* Poza tym mieliśmy jednego wykładowcę, który nazywał się Roman Kowal. I Paweł zamiast „każdy jest kowalem swego losu”, mówił zawsze „Každy jest Romanem swego losu” etc.

Studia trwały całe piękne pięć lat. Po 4-tym roku poślubiłam mojego dotychczasowego chłopaka, wybitnego organistę i pianistę Andrzeja Łukę. Ślub odbył się 25 sierpnia 1984 r. w kościele (obecnie bazylice) Matki Bożej Bolesnej w Limanowej. Głównym celebrazem miał być ks. prof. Józef

Życiński, późniejszy Biskup Tarnowski i Arcybiskup Metropolita Lubelski. Niestety (ale odpowiednio wcześniej), przeprosił nas, że nie może przyjechać na nasz ślub, ponieważ w tym samym czasie wyjeżdża do Castel Gandolfo z wykładami dla Ojca Świętego Jana Pawła II. Obiecał jednak, że w tym samym czasie, w którym będzie nasz ślub, odprawi za nas Mszę św. w Castel Gandolfo. Jak obiecał ks. prof. Życiński, tak też zrobił, za co jesteśmy Mu bardzo wdzięczni. Wielką niespodzianką był prezent dla nas od ks. prof. Życińskiego, mianowicie obraz z Błogosławieństwem Papieża Jana Pawła II!

Ceremonię naszego ślubu prowadzili obecny prałat ks. Jan Bukowiec, ówczesny proboszcz parafii św. Stanisława Kostki w Limanowej-Sowlinach oraz obecny prałat ks. Józef Poręba, ówczesny proboszcz parafii MB Bolesnej w Limanowej. Dziękujemy Im za to bardzo serdecznie.

Na piątym roku studiów mieszkaliśmy już razem. Byliśmy bardzo szczęśliwi, co nie znaczyło, że mieliśmy mniej pracy. Przez cały okres studiów mój mąż Andrzej studiując, równocześnie zastępował organistę pana Stanisława Klaję w kościele św. Mikołaja, a ja oprócz ciężkich studiów, akompaniowałam do układów w gimnastyce sportowej w klubie sportowym „Korona” oraz akompaniowałam do baletu i układów w Nowej Hucie w klubie sportowym, skąd wywodzi się była mistrzyni Polski w gimnastyce artystycznej Teresa Folga.

Wszystko razem (studia i praca) to morderczy wysiłek, ale Akademię Muzyczną ukończyliśmy z wyróżnieniem. Andrzej zapracował pieniądze na początek naszego pobytu w Szwajcarii, a ja dostałam Nagrodę Ministerialną, którą była 9-miesięczna pensja asystencka. Nie wydając z tego ani grosza, mogliśmy kupić bilet kolejowy przez Monachium do Bazylei, następnego naszego miejsca wspólnego życia i studiów. **c.d.n.**

¹ Siostra Helenka opiekowała się mną przez cały okres średniej i wyższej szkoły w Krakowie. Składam Jej tutaj szczególne podziękowanie i wyrazy mojej wdzięczności.

² Brat Doroty Bogdan (obecnie lekarz medycyny) chodził z moją siostrą Helenką i bratem Józkiem do szkoły muzycznej 1 stopnia, do klasy skrzypiec.

Alicja Łuka

Fotografie: arch. Alicji Łuka

Józef Szymon Wroński

*Cudze chwalicie swego nie znacie,
Sami nie wiecie, co posiadacie.*

Elementy obce w architekturze i sztuce Limanowej

Dobrze jest znać i poznawać swoje zwyczaje, obyczaje, dorobek kulturowy swego miasta i narodu, a więc także architekturę i sztukę, by nikt nie mógł powiedzieć i zarzucić nam, jak w tym dobrze wszystkim znanym porzekadło: Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie. Ale źle jest również, gdy nie znamy wpływów obcych i „obce” ślepo bierzemy i uznajemy za „swoje”, dlatego też niezbędnym dla pełnej wiedzy jest poznawanie elementów obcych w kulturze narodowej, w sztuce własnego kraju, swojego miasta. Warto zobaczyć, w jaki sposób zostały one zagospodarowane, zasymilowane we własnej, swojskiej i rodzimej kulturze i sztuce, w tym przypadku architekturze. O tym właśnie, czyli o wpływach elementów i pierwiastków obcych na architekturę Limanowej w szczególności traktuje ten artykuł; sygnalizacyjny jedynie, bo nie omawiający tych zagadnień ani w całości, ani też nie opisujący tych wybranych przykładów szczegółowo.



Fotografia z końca XIX wieku. Drewniany kościół oraz budynki: szkoły (z lewej) i sądu (z prawej).

Wpływy obce

Nikt jak dotąd – poza niżej podpisanym – nie zajął się widocznymi wpływami obcymi, pierwiastkami i elementami zaczerpniętymi z innych kultur i przyswojonymi kulturze, sztuce, a przede wszystkim architekturze i urbanistyce Limanowej ¹. A przecież wiadomo, że kultura, sztuka, architektura i urbanistyka czerpały pełną garścią z kultur sąsiadów, a warunkiem owego nawiązywania był pierwiastek postępowy, niosący zarodek nowego, lepszego i inspirowany architektem i artystą do dalszej,

twórczej pracy. Wpływy, jak pisał Jacob Burckhardt (1818-1897), jeden z pierwszych zasłużonych dla kultury i historii sztuki badaczy europejskich, nie są niczym złym, bo są inspirujące, trzeba je jedynie umieć przekształcać i przetwarzać na własny rozumiały dla wszystkich język artystyczny ². Umiejętność adaptacji cudzych osiągnięć w twórczym ich rozwijaniu ³ należy do ludzkości od dawien dawna.

Limanowa – jak dobrze pamiętamy – powstała na prawie magdeburskim ⁴, które wpłynęło na układ urbanistyczny



„Bekówka” - willa rodziny Beków wzniesiona w latach 1900-1901 przy ulicy Słonecznej. Fot. z lat 50-tych XX w.

i architektoniczny założonego w 1565 r. miasta. Początkowo nosiło ono nazwę Wilmanów, później Ilmanowa, ale od poł. XVIII w. coraz częściej stara nazwa wypierana była przez nową, obecnie stosowaną nazwę miasta – Limanowa⁵. Głównym zrębem założenia urbanistycznego Limanowej jest spory – jak na małe wówczas miasteczko – Rynek o geometrycznym kształcie prostokąta, z którego boków wychodzą ulice (w dwóch przypadkach niemal pod kątem prostym, gdyż pod wpływem zastanych warunków topograficznych było to jedynie możliwe, w pozostałych dwóch z odchyleniem od tej zasady, czyli ukosem). Podobny układ urbanistyczny, zachowany do dzisiaj w prawie niezmiennym kształcie (podkreślam słowo prawie, pewne zmiany zostały tam na przestrzeni dziejów podjęte) prezentuje stare królewskie miasteczko Tymbark. Wprawdzie utracił on w okresie międzywojennym prawa miejskie, ale jego układ (a po części też zabudowa pierzei przyrynkowych) jest zabytkiem wyjątkowym i dobrze, że się w takim stanie do dzisiaj zachował. Oby nikomu nie przyszło do głowy, by go zmieniać, bo jest to zabytek urbanistyczny – powtarzam – wyjątkowej klasy. Wracając do Limanowej, trzeba dodać, iż podobne założenia rynkowe prezentują w Małopolsce między innymi Jordanów, Lanckorona i Myślenice, z tym że w Myślenicach doszło do pewnych przeformowań planu, natomiast Lanckorona zachowała układ prawie z czasów założenia, a mianowicie – wiatrakowy, czyli z każdego narożnika

rynku po przekątnej wybiega jedna ulica. W Limanowej ta stara „średnio-wieczna zasada” uległa zmianie, o czym już wspominałem, a z czasem została wzbogacona, gdyż dzisiaj z dwóch boków limanowskiego Rynku (z pierzei północnej niemal pośrodku) wybiega ul. Marii Konopnickiej, a z pierzei wschodniej, z przesunięciem w kierunku północnym, doszła jeszcze ulica Stodolna, zwana obecnie MB Bolesnej. Jeśli chodzi o Niemcy, to Polacy (w tym limanowianie), wyjeżdżający na tzw. Saksy, przywozili stamtąd i to już w XVIII i XIX w. wiele nowinek architektonicznych, między innymi dach naczółkowy, który rozpo- wszechnił się w naszym mieście i kilka

domów zbudowanych w XX w. nakrytych jest takim właśnie dachem (np. przy ul. T. Kościuszki 48, ul. J. Piłsudskiego 85, 99 czy przy ul. Krakowskiej 5, 7).

Po I rozbiórce Polski (były to czasy Marii Teresy 1717-1780 i jej syna cesarza Józefa II 1741-1790) Limanowa znalazła się pod wpływem architektury i sztuki austriackiej. Z tamtego okresu w Limanowej zachowało się niewiele, bo Limanowa była, z niewielkimi wyjątkami, miastem zbudowanym z budulca rodzimego, drewnianego. Ale np. w sąsiednim Tymbarku pod wpływem tzw. stylu józefińskiego powstał kościół, który z czasem uległ przebudowom i do- budowom. Natomiast w Limanowej z 2. poł. XIX w i pocz. XX w., gdy stawiano z budulca trwałego (przeważnie z cegły i kamienia), zachowało się kilka dobrych przykładów, ilustrujących owe wpływy. Wystarczy wspomnieć nie tylko o budynku stacyjnym, wzniesionym ok. 1884 r., ale także o budynku starostwa powiatowego, zbudowanym w podobnym okresie czy budynku sądu (przy kościele, nieistniejącym), które to budowle powstały pod wpływem i pośrednio z inicjatywy władz austriackich. Cechą charakterystyczną tych budynków było między innymi stosowanie narożnego boniowania (tzw. altemującego), polegającego na stosowaniu na węglach na przemian dłuższego i krótszego ciosu kamiennego (nieważne, że był on sztuczny), które to (boniowanie) z czasem przejęły mniejsze budynki (np. willa Be(c)ków przy ul. Słonecznej 1, z półszczytowym dachem ▶



Drewniany dom Jakuba Lustiga. Od lat 70. XX w. własność Spółdzielni „Limanowianka”. Budynek rozebrany w 2001 roku. Od 2003 r. teren jest własnością firmy „Wrona”.



Dom rodzinny Hłyniów z lat 20. XX w. Fotografia z 2006 roku.



Willa „Zacisze” przy ulicy Orkana.

► czy kamieniczka przy ul. MB Bolesnej 23 (obecnie mieści się tam komis meblowy).

Na przedmieściach Limanowej, jak również w licznych miejscowościach powiatu limanowskiego, budowano w 2. poł. XIX w. aż do I wojny światowej domy letniskowe, wypoczynkowe w tzw. stylu tyrolsko-szwajcarskim. Jeden z takich ważnych relikwów architektury uzdrowskiej w Limanowej, zawierający nie tylko cechy owego stylu tyrolsko – szwajcarskiego (ale co ciekawe, przypominający architekturę budynków sowlińskiej Kolonii), rozebrano pod koniec XX w. Dom ten znajdował się przy obecnej ul. Józefa Piłsudskiego (*vis-a-vis* ówczesnego zakładu fotograficznego fotografa Zygmunta Kupca). Był to dom parterowy, nakryty dużym, łamanym, mansardowym dachem, z nadwieszonym gankiem, którego szczyt, jak również szczyty lukarn ozdobił motywem słoneczka (popularnym w Austrii i Szwajcarii), który to motyw („przetransportowany” do nas) rozpowszechnił się z czasem w Polsce, np. w „stylu” zakopiańskim. Piękna ta architektura zniknęła bezpowrotnie, gdyż nie znalazł się nikt ⁶, który by wówczas zwrócił uwagę na jej walory i wartości architektoniczne i jej rodowód. A może stan realny tego domu rzeczywiście nie był już do uratowania?

Tyrolskie wpływy zawiera okazały dom przy ul. Wierzbowej 1 (nad torami kolejowymi), należący niegdyś do kupca Kalentkiewicza. Ten obszerny, drewniany, wieloosiowy dom, z piękną werandą i wystawką, łączy w sobie cechy zarówno miejscowej, jak i zadomowionej tu „szwajcarsko-austriackiej” architektury, czyli szwajcarskiego „Chalet”, jak również tyrolskiego „Hausle”. Widoczne jest to w deskowanych „wyprawkach” ścian, jak i dekoracyjnych detalach ciesiówki. Wpływy secesji i tyrolsko-szwajcarskiej sztuki budowania ukazuje, stojący po drugiej stronie przy ulicy Granicznej dom, z naczółkowym dachem, werandą i gankiem (po generalnym remoncie wygląda już nieco inaczej). Cechy architektury m.in. tyrolsko-szwajcarskiej posiada uroczy dom dr. Hłynia przy ul. J. Piłsudskiego 16, z piękną, narożną basztą, werandą, na której dosłownie i w przenośni kładą się promienie słoneczne oraz z tarasem-loggią, na której liczne cienie tworzą efekty światłocieniowe. Nie wolno pominąć nam także pięknej willi „Zacisze” pp. Reymanów-Pilawskich przy ul. W. Orkana ⁸, z motywem „Drzewa Życia” i balustradą z motywem zwycięskiego „V”. Willa ta zawiera zarówno elementy obce, jak i rodzime, ale przeważają wpływy sięgające architektury dworkowej, a jej walorem jest również i to, że położona jest w uroczym parku-ogrodzie ze starodrzewiem.

W okresie secesji i modernizmu wpływy wiedeńskie były jeszcze bardziej i wyraziściej widoczne (np. kamienica pod Białym Orłem, przy ul. Kościuszki

15), nie mówiąc już o samej nazwie kierunku secesja, która oznacza oddzielenie się, odejście młodych od starych i tworzenie przez nich (czyli tych młodych) w nowym duchu, nowej kultury, odcinającej się od starej, zmurszałej, niemodnej i staroświeckiej. W sztuce oznaczało to odejście od historyzmu i eklektyzmu na rzecz stylu nowoczesnego, który nazywano w Austrii *secesją*, we Francji *Art Nouveau*, w Anglii *Modern Style*, w Hiszpanii i Rosji *modernizmem*, a w Niemczech stylem młodości (*Jugendstil*).

Na początku XX w. Spółka Francuska założyła w Sowlinach (obecnie dzielnica Limanowej) rafinerię nafty ⁷. Wpływ na budynki i architekturę Limanowej, a przede wszystkim na dwie wille (te nad torami – tzw. sztreką, czyli linią kolejową), znajdujące się obecnie w pobliżu ul. Metalowców, wywarła kultura architektoniczna Francji, co jest niezaprzeczalne, porównując je z pozostałymi wybornymi także pod względem architektonicznym budynkami, które tak – jeszcze dzisiaj – odróżniają się od pozostałych zabudowań w Sowlinach i wzbudzają zainteresowanie i entuzjazm zwiedzających nasze miasto. Przede wszystkim pod wpływem architektury domów i willi francuskich powstały na obrzeżach czy przedmieściach Limanowej wille i domy, zawierające pewne, wybrane elementy, zainspirowane detalami, szczegółami i wątkami, które podobały się ludziom, którzy budując swoje domy, chcieli je „ubrać” w podobny kostium, szatę czy upiękścić detalem

i wątkiem architektonicznym oraz „bankową wyprawką” tynkową, wzorem will francuskich. Porównajmy np. domy w Sowlinach (na tzw. Krzyżówce) przy ul. Krakowskiej 5 i 7 czy wille w Łososinie Górnej (obecnie też dzielnica Limanowej) przy ul. Łososińskiej. Z kolei dwa duże domy (wielorodzinne), stojące przy ul. Krakowskiej 10 i 12, noszą na sobie wyraźne wpływy architektury angielskiej, nurtu, który narodził się na przełomie XIX i XX w. i nazywa się go mianem miasta-ogrodu. Domy te, posadowione są w pięknych ogrodach, a w przypadku jednego (tego większego) nawet w swego rodzaju mini parku, z drzewami iglastymi, rabatami, klombami i alejkami. Szczegóły architektoniczne tych domów wskazują na stylistykę wczesnomodernistyczną i trzeba wyraźnie podkreślić, że są one rzadkością na terenie Polski Południowej.

Pewne wpływy niderlandzkiego neorenesansu, podanego w secesyjnej stylizacji, nosi na sobie „pałacyk” Hammerschläga (dzisiejsza Szkoła Muzyczna), położony w centrum Limanowej przy ul. Kościuszki. W kamienicy przy obecnej ul. Jana Pawła II 5, gdzie mieści się Cech Rzemiosł Różnych, dostrzegamy w jej schodkowym szczycie również wpływ

architektury niderlandzkiej, ale podanej już w formach zmodernizowanych (uproszczonych).

W grudniu 1914 r. stoczona została pod Limanową na wzgórzu Jabłonec bitwa z Rosjanami, którą austro-węgierscy żołnierze przy walnym udziale węgierskich Honwedów przeważyli na zwycięską szalę. Po bitwie w latach 1915-1917 powstał cmentarz na Wzgórzu Jabłonieckim według projektu Gustava Ludwiga, a tam częścią założenia parkowo – krajobrazowego jest kaplica-mauzoleum płk. Othmara Muhra, która nosi na sobie, jeśli nie kostium, to na pewno cechy architektury węgierskiej. Czy ktoś z Czytelników wie, że w Limanowej są także ślady wpływów zdobnictwa słoweńsko-słowackiego? Otóż na Cmentarzu Parafialnym w kwaterze wojennej znajduje się ściana-pomnikowa w formie fasady *quasi* – kaplicy z elementami zdobniczymi wykonanymi z drewna o cechach wspomnianej sztuki.

Czy da się wyodrębnić w kulturze polskiej próby rosyjskich wpływów czy radzieckich? Na pewno one są. Przecież Polska po II wojnie światowej pozostawała przez 45 lat pod rządami, które – jak wiadomo – nie rządziły samodzielnie, ale były, mówiąc oględnie, „zdalnie

sterowane”. Trzeba je tylko umiejętnie wyławić (aby stwierdzić, czy są one pozytywne czy negatywne, trzeba je najpierw opisać i na nie wskazać). Jest to problem szeroki, wymagający dogłębnych i wielorakich badań, a także – jak zawsze przy tego typu badaniach – wymagający kwerendy archiwistycznej.

Czy brak pozwoleń na budowę kościołów w ogóle w pewnym okresie PRL (jako wyraz próby sowietyzacji – nośnej ideologii walki z Kościołem katolickim), a później zezwalanie na budowę kościołów bez wież (wywalczanych z ogromnym trudem, czego najlepszym przykładem jest kościół w naszym mieście w Limanowej-Sowlinach), to tylko wpływ „władzy obcej” czy też nie „mączali w tym również palców swoi”? To szereg pytań, na które kultura i sztuka muszą z czasem odpowiedzieć, gdyż nierozliczenie się z tymi sprawami, źle świadczy o użytkownikach (o ich akulturowości, mówiąc delikatnie i oględnie). A jak wiadomo: „Nierozliczenie się z [tamtą] totalitarną przeszłością – pisze o tym Joanna Siedlecka – prowadzić może do socnostalgii”¹⁰.

A czy są wpływy architektury niemieckiej i amerykańskiej na nasze współczesne budownictwo? Z pewnością są, ale



Kamienica „Pod Białym Orłem” przy ul. Kościuszki.



Pałacyk adwokata Jonasza Hammerschläga, zbudowany na początku XX wieku. Położony na wzgórzu „dawnych ogrodów” przy ul. Kościuszki - obecnie mieści się tu Szkoła Muzyczna. Fotografia z 2006 roku.



Kamienica dr. Michała Gnoińskiego przy ul. Krakowskiej (dzisiaj ul. Jana Pawła II). Obecnie własność Cechu Rzemiosła Przedsiębiorczości w Limanowej. Fotografia z okresu międzywojennego.

► to zagadnienie, jak i inne muszą być solidnie przebadane. A więc o nich w innym artykule.

Podsumowanie

Na pytanie, które zadał mi kiedyś jeden z ważnych mieszkańców Limanowej, czy w limanowianach, sowlinianach płynie krew francuska, austriacka, niemiecka, odpowiedziałem wówczas: „Bóg jeden raczy wiedzieć. Odpowiedź na to pytanie daliby z pewnością badacze zajmujący się antropologią, socjologią i jeszcze innymi dziedzinami wiedzy medycznej i biologicznej” Ja natomiast mogę się pokusić jedynie o krótkie podsumowanie w zakresie sztuki: architektury i urbanistyki. Otóż owa, nazwijmy ją niemieckość, austriackość, francuskość, węgierskość, czeskość czy słowackość (i inne kultury) tak zrosły się ze sztuką, architekturą czy urbanistyką polską, że zwykłemu niewtajemniczonemu mieszkańcowi Limanowej trudno jest „gołym okiem” odróżnić czy zauważyć, co jest polskie a co jest obce.

To „obce” już nie jest obce, bo zostało zasymilowane, przyswojone kulturze polskiej, wzbogacając ją o niepowtarzalne pierwiastki odrębne, często nad wyraz piękne. Czy takie wpływy to zło, błąd,

czy dobro i bogactwo (wzbogacenie pierwiastka polskiego)? Bez wątplenia jest to wzbogacenie architektury, sztuki, kultury swojskiej i rodzimej.

Szkoda, że niektóre domy zniknęły z pejzażu miejskiego, a inne zostały przebudowane i pozbawione dawnej szaty. Szkoda, bo to się już nigdy nie wróci, a były one znakiem czasu, w którym powstawały. Niech będzie jednak dla nas, żyjących w XXI w., przestrogą przed łatwym i szybkim pozbywaniem się relikwów – dowodów dawnej kultury, bo to źle świadczy także o nas samych, o naszej kulturze. Strzeżmy się tego, by nam nikt nie zarzucił, że jesteśmy ignorantami, a tym bardziej, by nie użył przeciwko nam biblijnego sformułowania, mówiącego: *Szkoda pereł rzucanych przed ... , czy literackiego porzekadła, że Polak przed szkodą i po szkodzie głupi.*

PS. Nie można pominąć przy omawianiu tamtych wpływów także wpływu sztuki i kultury żydowskiej, bowiem ta społeczność stanowiła w pewnym momencie dziejów Limanowej połowę mieszkańców (w okresie międzywojennym), ale w wyniku wojny Żydzi jak i ich kultura zniknęły, co jest niepowetowaną stratą. Czy doszczętnie zniknęły, chyba jednak nie, chociaż materialne jej dowody (bóżnice, domy modlitwy, chedery, mykwa i inne) zniknęły z obszaru miejskiego, spaliły się, zostały zburzone lub rozebrane, ale z pewnością zachowały się chociażby we fragmentach (kirkut żydowski) oraz niezatarte dowody kultury ruchomej, jak księgi, rzemiosło artystyczne i inne. Należałoby pokusić się



Willa dla kadry kierowniczej rafinerii nafty w Sowlinach przy ul. Willowej. Mieszkał w niej inż. Józef Florian, wieloletni dyrektor rafinerii po II wojnie światowej. Fotografia z okresu międzywojennego.



Willa dla kadry inżynierskiej rafinerii nafty w Sowlinach przy ul. Krakowskiej. Fotografia z lat międzywojennych.

o założenie chociażby jakiegoś niewielkiego *kącika judaiców*¹¹ (może w bibliotece lub muzeum), gdzie znalazłyby się np. fotografie (jeśli brak autentyków), świadczące o tych ludziach i ich bogatej kulturze. Przetrwiał także ich język, którego wpływy najwyraźniej odbijają się chociażby w warstwie naszego limanowskiego języka potocznego¹².

O wpływach języków obcych na język rodzimy znajdziemy materiał w artykule w następnym wydaniu „Echa Limanowskiego”, do przeczytania którego już dzisiaj serdecznie zapraszam.

Fotografie: arch. albumu „Okruczy pamięci”, „Echa Limanowskiego”

to nie wolno nam zapominać o festiwalu piosenki radzieckiej, w którym w różnych latach i jego edycjach brały udział także limanowianki. Jedna z nich przeszła eliminacje szkolne, powiatowe i dotarła do wojewódzkich, druga, jeśli się nie mylę, przeszła eliminacje wojewódzkie. Zasluga w tym także prof. Zofii Wazio, nauczycielki języka rosyjskiego w Liceum Ogólnokształcącym w Limanowej (obecnym LO nr 1 im. Władysława Orkana), która wprowadzała i zaznajamiała nas uczniów z kulturą rosyjską (chętnie przeczytałbym artykuł wspomnieniowy na temat tej zasłużonej dla limanowskiego LO nauczycielki). Może ktoś z uczniów czy profesorów o Niej napisze, bo warto, bo była nauczycielką z klasą (dzięki niej wielu uczniów studiowało filologię rosyjską).

¹⁰ J. Siedlecka, *Biografie odtajniane*, Warszawa 2015, (Wstęp).

¹¹ Dokumenty, rękopisy, druki dotyczące kultury żydowskiej. Taką wystawę czasową, prezentującą fotosy z okresu międzywojennego (m.in. Żydów limanowskich), a związaną z 90. rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości, zorganizowała Galeria w Bibliotece Miejskiej w Limanowej pod kierunkiem red. Stanisława Ociepki i ówczesnej dyr. Biblioteki Miejskiej p. Haliny Matras w roku 2008.

¹² Piszący ten tekst słyszał jeszcze tak niedawno z ust limanowian słowo „kosirować” (koszer – hebr. = odpowiedni), co oznaczało myć się do czysta na czysto, na glanc (a teraz idź się kosirować).



Kaplica - mauzoleum Othmara Muhra na cmentarzu wojennym z okresu I wojny światowej na wzgórzu Jabłoniec. Fotografia z 2014 roku.

¹ J. Sz. Wroński, *Architektura i urbanistyka Limanowej. Zarys – wybrane przykłady*, „Almanach Ziemi Limanowskiej”, od nr 14 do nr 22/23; tenże, [w:] *Limanowa – Miasto w Beskidzie Wyspowym*, pod red. m.in. Stanisława Ociepki, wyd. II poprawione i rozszerzone, Limanowa 2007, s. 28-37.

² J. Burckhardt, *Kultura Odrodzenia we Włoszech* (1860), Kraków 1930, wyd. II Warszawa 1939.

³ J. Wojtowicz, *Historia Szwajcarii*, Wrocław (i inne) 1989, s. 7.

⁴ Prawo magdeburskie, dawne prawo miasta Magdeburga, na którym się wzorowano przy zakładaniu niektórych miast polskich. Za: SWO PWN, s. 442.

⁵ *Monografia Limanowej*, pod red. Feliksa Kiryka, t. 1. Kraków 1999, s. 50nn.

⁶ *Odważny i mądry*

⁷ St. Ociepka, *Limanowa na szlaku przemysłu naftowego*, „Echo Limanowskie”, R.XXIV nr 256-257 Styczeń-Luty 2016, s. 41.

⁸ *Limanowa – Miasto w Beskidzie Wyspowym*, wyd. II poprawione i rozszerzone, Limanowa 2007, s. 34.

⁹ Jeśli chodzi o kulturę rosyjską, bogatą i różnorodną,

Zapomniani pedagodzy Szkoły Ogólnokształcącej stopnia licealnego w Limanowej

Otwarcie Prywatnego Miejskiego Gimnazjum i Liceum w Limanowej kilkanaście dni po wycofaniu się niemieckiego okupanta z miasta i powiatu było posunięciem heroicznym i świadczyło o ogromnej determinacji organizatorów, którzy pragnęli przyjść z pomocą młodzieży i ułatwić jej zdobywanie wiedzy.

Plan doskonale opracowany i przemyślany w najdrobniejszych szczegółach był ogromnie trudny do realizacji, bo wymagał dużych nakładów finansowych, budynku, w którym młodzież pobierałaby naukę, kadry pedagogicznej oraz skromnych mieszkań dla pedagogów wyrażających chęć podjęcia pracy w otwieranej placówce, a tego wszystkiego brakowało.

Trudno pojąć, jak udało się pokonać te trudności i szczytny plan wcielić w czyn.

Dlatego nawet teraz po wielu latach od tych wydarzeń należy schylić głowę przed CIENIAMi organizatorów tego przedsięwzięcia PP. Antonim Biedą i Stanisławem Ceglazem.

Po kolejnych zmianach i reformach Ministerstwo Oświaty wydało w dniu 18 marca 1949 r. zarządzenie obowiązujące od I kwietnia tegoż roku, na mocy którego placówka została upaństwowiona i przyjęła nazwę Państwowej Szkoły Ogólnokształcącej stopnia licealnego w Limanowej. Pan mgr Antoni Bieda objął stanowisko dyrektora Liceum Pedagogicznego, a funkcję dyrektora upaństwowionej placówki powierzono p. mgr. Szczepanowi Gajewskiemu.



Grono pedagogiczne Powiatowego Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnego w Limanowej w latach 1946-49. Stoją z przodu od lewej: Józef Staniszewski, Antoni Bieda, ks. Władysław Ryś, Henryk Czarnyński; w drugim rzędzie: Maria Biedowa, Tadeusz Ociepka, Szczepan Gajewski (dyrektor); w trzecim rzędzie: Jadwiga Zuławska, Stefania Tokarykova, Anna Orzechowska, Stefan Bieda; w ostatnim rzędzie: Stanisław Odziomek, Eugenia Naturska, Władysław Sułkowski, Władysław Wietrzny, Józef Bednarz.

Pan mgr Szczepan Gajewski był pedagogiem doskonale rozumiejącym młodzież, jej trudności, pragnienia, chęci i dążenia do życia w innych, lepszych

w warunkach, które trzeba było zdobywać mozolną codzienną nauką i pracą. Sam przeszedł niełatwą drogę prowadzącą do wiedzy. Był bowiem chłopskim synem,

pochodził z niezamożnej rodziny niewiele mogącej mu pomóc.

Czasem wspominał o swojej nauczycielce, która doceniła jego zdolności, pilność i pomogła mu dostać się do szkoły średniej. Podobnie jak jeszcze kilku chłopcom z jego rodzinnej wsi.

Szczepan Gajewski urodził się w Rozdzielu w 1904 roku. Była to wówczas wieś, o której mówiono, że znajduje się na końcu świata, a mimo tego, dzięki zaangażowaniu nauczycielki „siłaczki” kilku młodych ludzi w czasie jej pracy ukończyło studia wyższe. Aby zarobić na skromne utrzymanie, podejmował się różnych prac.

Mówił o tym bez żadnej żenady, bo uczciwe zajęcie nie hańbi.

P. Szczepan Gajewski zdał maturę w Bochni, a w 1924 r. podjął studia filozoficzne w UJ. Operował biegle kilkoma językami m. in. niemieckim, angielskim, łaciną, znał także grekę.

Bardzo dobrze uczył matematyki.

W 1930 r. otrzymał pracę w szkole średniej w Jaśle, a w dwa lata później zdobył dyplom nauczyciela szkół średnich. W Jaśle pracował do wybuchu wojny. W czasie okupacji prowadził konspiracyjne kursy przygotowujące młodzież do podjęcia nauki w szkołach średnich.

Organizatorzy Prywatnego Gimnazjum i Liceum w Limanowej kompletujący kadrę otwieranej placówki, odszukali p. Szczepana Gajewskiego i zaproponowali mu pracę. Ze względu na szeroki zakres wiedzy wymieniony był cennym nabytkiem.

Pracowity, niekonfliktowy, oprócz nauczania zorganizował w szkole drużynę harcerską i opiekował się nią do podjęcia funkcji dyrektora. Nowe obowiązki nie pozwalały na kontynuację pracy harcerskiej.

Poza tym harcerstwo przestało być dobrze widziane w szkole i decyzją władz zostało rozwiązane. Na jego miejsce powołano nową organizację o innej ideologii. Był to Związek Młodzieży Polskiej. Harcerstwo przemianowane

na Harcerską Służbę Polsce, przesunięto do szkół podstawowych i nadano jej także inny kierunek działania.

Nowy dyrektor uzupełniał kadre nauczycielską, która ciągle się zmieniała, bo pedagodzy szukali lepszych warunków pracy, większych ośrodków, czasem odnajdowali swoje rodziny rozproszone przez wojnę, wyjeżdżali z naszego miasta.

Na szczęście uczelnie wypuszczaly pierwszych absolwentów, więc było łatwiej znaleźć odpowiednich specjalistów chętnych do objęcia wakujących miejsc. Należało tylko w porę złożyć zapotrzebowanie.

Nowy dyrektor był człowiekiem systematycznym, opanowanym i dlatego mimo ustawicznych braków finansowych sprawnie kierował radą pedagogiczną, która starała się zasłużyć na dobrą opinię wizytatorów kuratorskich często odwiedzających szkołę.

Pan dyrektor był ogromnie lubiany przez uczniów. Rozumiał ich dole i niedole, a tych ostatnich było sporo ze względu na to, że warunki materialne młodzieży pozostawiały wiele do życzenia. Niektórzy mieszkali daleko od siedziby szkoły i pokonywali codziennie wiele kilometrów, by się do niej dostać (Kanina, Słopnice, Laskowa Górna). Nie wszystkich rodziców było stać na opłacenie stancji dla swych dzieci i koło się zamykało. Dlatego też Dyrekcja wydała polecenie, by wcześniej ogrzewać sale i otwierać szkołę, aby zmarnięci uczniowie mogli się nieco ogrzać przed lekcjami.

W pomieszczeniu koło szkolnego sklepiku stał duży garnek z gorącą herbatą, by można było wypić garnuszek rozgrzewającego płynu.

Pan Dyrektor wymagał od uczniów prawdomówności. Mógł zrozumieć kłopoty z opanowaniem jakiegoś zagadnienia, ale kłamstwa i lenistwa NIE.

Nie krzyczał na uczniów, nie podnosił głosu, ale wystarczyło, że spojrzął na delikwenta spod zsuniętych brwi, by ten więcej już tego czynu nie popełnił.

Wymagał systematyczności i to trafiało do uczniów.

Systematyczność dawała efekty szczególnie w nauczaniu matematyki. Wielka ilość rozwiązywanych zadań sprawiała, że nawet ci „mniej genialni” nie mieli kłopotów. Poza tym unikał odpytywania przed okresem klasyfikacyjnym. Odpowiadaliśmy przez cały okres, dlatego byliśmy zawsze przygotowani na wezwanie do odpowiedzi.

Ciągle podkreślał:

– Teraz macie się uczyć, uczyć, uczyć z dnia na dzień. Na uniwersytecie będziecie dopiero zdawać egzaminy za cały semestr i zarywać noce.

Pan dyrektor odnosił się z szacunkiem do młodzieży. Lekcje kończył punktualnie, równo z dzwonkiem. Stawał wówczas przed młodzieżą, która bezszelestnie także wstawała, skłaniał przed nią głowę, jakby w podzięce za wspólne zajęcia i wychodził.

Nikt z grona nauczycielskiego tego nie czynił i takim „uważającym” go zapamiętaliśmy.

Jeśli do jakiegoś ucznia miał uwagi, nie czynił ich publicznie. Rozmawiał z nim osobiście w gabinecie lub w świetlicy. Nikt treści takiej rozmowy nie powtarzał. Takie było niepisane prawo.

Mimo problemów różnej natury machina szkolna dobrze prosperowała. Odchodziły starsze roczniki, przychodziła nowa młodzież.

W pierwszych powojennych latach uczniowie mający zamiar podjąć studia po maturze składali potrzebną dokumentację u Dyrekcji Szkoły, a ta musiała dostarczyć ją do akceptacji władzom politycznym. Wynik tej akceptacji był wiążący. Pan dyrektor wielu uczniom pomógł, interweniował i prosił o zmianę decyzji dla dobra młodych ludzi. W ten sposób pomagał im zrealizować osobiste plany.

Pan dyrektor miał dwoje dzieci, które chodziły w tym czasie do liceum. Nie korzystały nigdy, jak to się czasem zdarza, z dodatkowych przywilejów i były traktowane tak, jak wszyscy. Tak sobie życzył ich ojciec i nauczyciele to respektowali.

Widocznie jednak komuś przeszkadzał, bo po bardzo burzliwej konferencji sierpniowej w 1954 roku został w trybie natychmiastowym przeniesiony z dniem 15 listopada 1954 r. na etat do szkoły średniej w Kętach. Tam tylko do końca roku szkolnego był nauczycielem, a w następnym awansował na stanowisko dyrektora. Wnet zdobył szacunek za prawość, rzetelność i pracowitość. Ogromnie przeżył tę niezasłużoną przykrość. Zaczął chorować i przedwcześnie odszedł w bezpowrotną drogę.

Zadra w sercu p. dyr. Szczepana Gajewskiego tkwiła tak mocno, że nigdy więcej nie odwiedził naszego miasta, mimo że delegacja klasy tej jedynej, którą uczył całe 6 lat, pojechała osobiście zaprosić Go na pierwszy koleżeński zjazd w czerwcu 1956 roku. Był wzruszony

naszą obecnością tak bardzo, że zaczęliśmy się bać o Jego zdrowie.

Niestety – nie przyjechał.

Widzieliśmy Go wówczas po raz ostatni.

Nie przyjeżdżała też na nasze spotkanie Jego córka. Nie mogła. Zrozumieliśmy.

W czasie naszych koleżeńskich spotkań wspominaliśmy Pana Dyrektora Szczepana Gajewskiego i zadawaliśmy sobie pytanie:

– Kim trzeba być, aby tak zniszczyć człowieka?

Najmilszą, najmłodszą i najbardziej lubianą przez uczennice nauczycielką była p. Maria Pałka. Miała zaledwie 21 lat, gdy po maturze w Liceum Pedagogicznym i rocznym kursie uprawniającym do prowadzenia zajęć z wychowania fizycznego podjęła w 1949 roku pracę w Państwowej Szkole Ogólnokształcącej stopnia licealnego w Limanowej.

Powiało świeżością i autentycznym zaangażowaniem. Drobna, niewysoka, wysportowana tchnęła nowego ducha w dziewczęcy świat. Poprzednia „pani od w-f” prowadziła zajęcia drętwo, bez wyrazu. Dlatego uczennice unikały wychowania fizycznego, posługując się różnymi wybiegami i zwolnieniami. Z zawiścią patrzyły na kolegów i ich zajęcia prowadzone przez profesora Władysława Wietrznego.

Tym razem los się do dziewcząt uśmiechnął. Pani profesor ćwiczyła razem z nimi. Skakała przez kozła, robiła wywrotki, wspinała się na drabinki – słowem demonstrowała osobiście wszystkie sportowe figury, troszczyła się o bezpieczeństwo uczestniczek zajęć, a potem po opanowaniu kolejnych ewolucji, cały czas ćwiczyła z grupą, utrwalając zdobyte umiejętności. Zależało jej na dobrych wynikach, słowem – chciało jej się chcieć. Uczennice polubiły zajęcia z wychowania fizycznego. Nikt się nie zwalniał, nie objął, bo ćwiczenia było wypoczynkiem od pracy umysłowej.

Po 5 – miesięcznych zajęciach z p. Marią Pałką uczennice Liceum przystąpiły do zawodów halowych z przedstawicielkami szkół średnich powiatu limanowskiego i suskiego zdobywając pierwsze miejsce. Osiągnięcia były coraz większe. Radość z tak dobrego nabytku trwała krótko. Po dwóch latach pracy pani M. Pałka zmieniła stan i ku ogromnemu żalowi opuściła Limanową. Przeniosła się do Bielska – Białej, skończyła studia i w nowej placówce pracowała do przejścia na emeryturę. ►

▶ Następczyni nie miała już do tego przedmiotu ani takiego zacięcia, ani takich wyników.

NIE WSZYSCY RODZĄ SIĘ MISTRZAMI.

Na DOBRĄ Pamięć zasłużyła również p. mgr Jadwiga Żuławska. Pochodziła z Kresów. W 1933 roku ukończyła Wydział Matematyczno – Biologiczny w Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie i wnet otrzymała pracę w Horyniu, a potem przeniosła się na Wołyń i uczyła w Bereznem k. Równego.

Do szkoły uczęszczała młodzież polsko – ukraińska z przewagą tej drugiej. Wśród uczniów były też inne mniejszości narodowe, ale dzięki taktownemu postępowaniu uczących nie było zadrażeń i groźnych napięć.

Wszystko zmieniło się na niekorzyść z chwilą wybuchu wojny. Średnie placówki szkolne zostały zamknięte i trzeba było szukać sposobów na przetrwanie, co było więcej niż trudne, bo tereny były rolnicze i brakowało zakładów pracy.

Pani Jadwidze udało się zdobyć za groszowe wynagrodzenie zajęcie w magazynie skupującym zboże, a potem w cukrowni, w której prowadziła księgowość.

Mimo grożącego z każdej strony niebezpieczeństwa prowadziła także tajne nauczanie.

Załamaniem się frontu na Wschodzie, wycofująca się armia niemiecka i podsyłanie nienawiści do Polaków spowodowały, że trzeba było w pośpiechu, zostawiając cały dobytek, opuścić tamte niebezpieczne tereny i ratować życie. Z małą walizką mieszczącą kilka najpotrzebniejszych drobiazgów udało się pani profesor po kilku tygodniach poniewierki przybyć do naszego miasta zaraz po jego wyzwoleniu. Odtąd Limanowa, o której wcześniej nigdy nie słyszała, stała się Jej miastem.

Tu znalazła pracę i zdobyła serca tych, którzy Jej potrzebowali.

To był długi i ostatni przystanek życiowy.

Pani mgr Jadwiga Żuławska podjęła pracę od początku istnienia Miejskiego Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnego w naszym mieście. Była obecna na pierwszym posiedzeniu Rady Pedagogicznej w dniu 21 lutego 1945 roku, w którym brało udział 17 pedagogów i tak trwała na stanowisku do 1978 r.

Po upaństwowieniu placówki przeszła do pracy w Liceum Pedagogicznym,

a w Państwowej Szkole Ogólnokształcącej stopnia licealnego miała tylko kilkanaście godzin.

Należy podkreślić, że była bardzo oddana szkole i młodzieży.

Życia osobistego właściwie nie miała. Gromadziła wokół siebie młodzież szczególnie interesującą się biologią. Była pasjonatką ochrony przyrody. „Pochylała się” nad każdym krzewem, rośliną i zwierzęciem. Młodzież nadała Jej nawet przydomek „Euglena”, co nie miało wcale negatywnego wydźwięku. Wiedziała o tym i przyjmowała to jako coś zwyczajnego, humorystycznego.

Bezinteresownie, indywidualnie pomagała uczniom w przygotowaniu do egzaminów wstępnych na studia.

Ze względu na szeroką wiedzę przedmiotową została instruktorką Powiatowego Ośrodka Doskonalenia Kadr Oświatowych.

W wyznaczony dzień tygodnia odwiedzała w szkołach nauczycieli – biologów, by zapoznać się z ich warsztatami pracy. Pomagała sporządzić wykaz potrzebnych pomocy naukowych, uzyskać środki finansowe na ich zakup i nauczyć ich wykorzystania.

Na konferencjach metodycznych podawała wzorcowe przykłady sporządzania rozkładów materiału i sprawdzania wiadomości.

Udzielała też wskazówek i rad pedagogom podejmującym studia zaoczne z zakresu biologii.

Przeszła na emeryturę w 1978 r. Nie miała rodziny, ale nie czuła się samotna, bo często odwiedzali Ją byli uczniowie.

Pod koniec życia, kiedy gorzej się poczuła, zapewniła Jej opiekę dawna uczennica i zaprosiła do swego domu w Nowym Sączu. Przebywała u niej do końca swoich dni. Zgodnie z życzeniem spoczęła w Limanowej blisko kwatery żołnierzy z I wojny światowej. Tam odwiedzają Ją pamiętający, wdzięczni uczniowie.

Wypada wspomnieć jeszcze o 2 pedagogach, którzy podjęli pracę od początku istnienia nowej szkoły średniej. Byli to – pp. prof. prof. Maria Ociepka – Poško i Władysław Sułkowski.

P. prof. Maria Ociepka – Poško uczyła historii. Jej wykłady były bardzo interesujące. Przynosiła na lekcje wiele tekstów i ilustracji ze swoich prywatnych zbiorów, które pomagały w rozumieniu wydarzeń. Zwracała uwagę na powiązanie przyczynowo – skutkowe zjawisk historycznych.

Wymieniona była osobą bardzo wymagającą, surową i oszczędną w ocenach. Bez względu na prezentowaną wiedzę otrzymywało się trójkę. Pani profesor uważała bowiem, że mamy za małą wiedzę, ze względu na brak podręczników, i to jest wystarczająca ocena. Otrzymanie oceny dobrej było niecodziennym wydarzeniem.

Jeśli ktoś dysponował przedwojennym podręcznikiem, był „wygrany”. Ustawiały się do niego kolejki, by chociaż na godzinkę wypożyczyć bezcenny egzemplarz i przygotować streszczenie.

Pani profesor często wzywała do odpowiedzi i nie stosowała żadnego schematu w odpytywaniu. Była to doskonała zasada, bo zawsze trzeba było być przygotowanym do odpowiedzi.

Po upaństwowieniu Liceum Ogólnokształcącego w 1949 r. p. Maria Ociepka – Poško podjęła etat nauczyciela historii w Liceum Pedagogicznym.

Języka polskiego w Prywatnym Gimnazjum i Liceum w Limanowej uczył prof. Władysław Sułkowski. Zwracał ogromną uwagę na poprawność wypowiedzi uczniów, styl i bogactwo języka. Zachęcał do czytania wartościowych książek. Często stosował tzw. wolne tematy. Mogły to być opowiadania, opisy, wspomnienia, a nawet wiersze. Oddawało się je na luźnych kartkach papieru. Każda wypowiedź była poprawiona i oceniona. Nie lubił mieszania stylów. Na szczególną uwagę zasługiwało oryginalne opracowanie lektur. Podkreślał zawsze, że lektury się opracowuje, a nie „przerabia”.

Nieszczęśliwy wypadek motorowy skutkujący uszkodzeniem kręgosłupa i częściowym paralizem zakończył pracę pedagogiczną prof. Władysława Sułkowskiego.

Te krótkie wspomnienia poświęcam kolejnym prawie już zapomnianym pedagogom Liceum Ogólnokształcącego w Limanowej. Pracowali w bardzo ciężkich warunkach. Byli pionierami szkolnictwa średniego w naszym mieście. Tworzyli jego zręby, w pełni zatem zasłużyli na pamięć i szacunek.

Fotografia: arch. albumu „Okruchy pamięci”

„Sokół” – zrutowisko alianckie na górze Ćwilin

Wędrując przez Beskid Wyspowy, poszukując informacji o każdej kolejnej „wyspowej” górze, można poznać wiele interesujących ciekawostek. Jedne dotyczą podań i legend ludowych, związanych z położeniem lub pochodzeniem nazewnictwa danego szczytu, polany, osiedla lub przysiółka. Wiele z tych informacji zatarło się i pozostało w pamięci nielicznych, obrastając w lokalne legendy. Nie inaczej było z historią pewnego wydarzenia na górze Ćwilin, które rozegrało się w okresie II wojny światowej.

Bliźniak Śnieżnicy

Nie miejsce to nad rozwodzeniem się o właściwe pochodzenie nazwy samej góry, jednak najczęściej wymieniane jest pochodne nazewnictwo od słowa *Zwilling* (z języka niem. bliźniak). Być może chodziło o rozróżnienie przez niemieckich osadników (przybyłych do Tymbarku i Jurkowa w XIV w.) Śnieżnicy od swojego sąsiada – brata bliźniaka. Wyjątkowe położenie i rozległa szczytowa polana wyróżniały drugi co do wielkości szczyt na tle Beskidu Wyspowego. Powyżej 1000 m n.p.m. rozciąga się polana Michurowa, która dzieli się na pomniejszych polanki według nazewnictwa i pochodzenia od gazdów-właścicieli. Kilkaset lat wcześniej ludność wołoska, wędrując po łuku Karpat dotarła w to urokliwe miejsce. Rozpoczęło się wypalanie (cyrhlenie) polan w celu prowadzenia wypasu owiec i kóz. Podobnie jak i na okolicznych szczytach, na polanie Michurowej życie pasterskie tętniło od św. Wojciecha do św. Michała. Z czasem ludność wołoska zasymilowała się, zamieszkując w dolinach. Na początku XX wieku na polanie starano się prowadzić uprawy zboża, co jednak w surowym, górskim klimacie nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Po pierwszej wojnie światowej, na polanie tradycyjny wypas prowadzili mieszkańcy okolicznych wsi: Jurkowa, Wilczyc i Łostówki.

Narodziny „Sokoła”

Kiedy wybuchła druga wojna światowa, Ćwilin był niemy świadkiem poruszania się niemieckich wojsk z Mszany Dolnej na Limanową, która została zajęta 6 września 1939 r. W czasie okupacji lasy Ćwilina stanowiły doskonale miejsce dla osób czasowo ukrywających się przed aresztowaniem. Dotyczyło to osób



Ćwilin, utrwalony z polany Stumorgowej na Mogielicy, 1944 r. Fot. ze zbiorów J. Krzewickiego.

zarówno „spalonych” w konspiracji jak i żołnierzy nowo powstających oddziałów partyzanckich i grup egzekutywy. Kiedy w 1943 r. na terenie Limanowszczyzny zreorganizowano struktury polskiego podziemnego wojska – Armii Krajowej, Ćwilin stał się wyjątkowym przystankiem dla żołnierzy z lasu. Na obszarze Ziemi Limanowskiej, po zreorganizowaniu struktur wojskowych AK, pod koniec 1943 r. wyznaczono kilka miejsc na tzw. zrutowiska dla samolotów alianckich, latających do okupowanego kraju ze zrzutami broni, umundurowania i wyposażenia – niezbędnego dla prowadzenia walki z Niemcami. Na zrutowiska zazwyczaj dowództwo wyznaczało miejsca bezpieczne, widoczne dla załóg samolotów, o wystarczającym obszarze. Na tzw. „kosze” – miejsca zrutowe wyznaczano zazwyczaj polany, z których w łatwy sposób można było ewakuować zrzucone materiały. Właściwą organizacją odbioru zrzutu zajmowali się zazwyczaj oficerowie, przysłani przez dowództwo Okręgu

AK Kraków. Do bezpośredniej pracy, zabezpieczenia „kosza” i transportu – kierowani byli przez komendanta Obwodu AK Limanowa, żołnierze kilku placówek (odpowiednik przedwojennej gminy). Podzieleni w kilku grupach podejmowali tzw. czuwanie w czasie wyznaczonych

terminów, zazwyczaj kilku nocy przeznaczonych na zrzuty. Były to tzw. tercety księżycowe. O rozmiarach odbioru zrzutów świadczą choćby wspomnienia żołnierzy z tamtego okresu, odkurzone po latach zatarcia i zapomnienia.

Aby odebrać zrzut, potrzebna była solidna logistyka. Jak na warunki wiejskie, należało przygotować grupę osób wcześniej przeszkolonych, odpowiedzialnych za sygnalizację świetlną z nadlatującym samolotem. Dalej, potrzebna była grupa kilkudziesięciu chłopów, którzy w bezpośredniej gotowości oczekiwali na odbiór opadających, ciężkich zasobników i paczek z odzieżą i butami (często w czasie zrzutu znosił je wiatr od kilkuset metrów do kilku kilometrów!). W odwodzie, w kilku pierścieniach, w promieniu od 1 do 2 km znajdowały się patrole z bronią, które czuwały nad bezpieczeństwem akcji, aby nikt nieproszony nie dostał się na miejsce zrutowiska. Ostatnia rzecz, to organizacja transportu. Kilkanaście furmanek do przewozu tego, co zostanie

zrzucone. Często już wcześniej było przygotowane rozporządzenie, która gdzie i pod czyją „opieką” uda się w razie obławy okupanta. Wbrew pozorom, organizacja każdej akcji „K”¹ kosztowała kilka tygodni gorączkowych przygotowań, a wszystko odbywało się w głębokiej konspiracji.

Pierwszą placówką zrzutową na Ziemi Limanowskiej według danych alianckich miało być zrzutowisko o kryptonimie „Sokół”. Jak podaje Kajetan Bieniecki w swojej publikacji *Lotnicze wsparcie Armii Krajowej*, lokalizacja placówki odbioru zrzutu: „Sokół” znajdowała się 9 km na wschód od Mszany Dolnej. Według relacji m.in. żołnierzy Oddziału Partyzanckiego „Wilk”, zrzutowisko „Sokół” było umiejscowione na polanie góry Ćwilin. Jak wskazują alianckie dane, „kosz” mógł przyjąć zrzut maksymalnie z dwóch maszyn, czyli około 24 zasobników i 24 paczek. Pierwsze czuwanie na Ćwilinie miało się odbywać w dniach 9-12 marca 1944 r. Żołnierze placówek AK „Trzos” Tymbark, „Dwór” Dobra, „Kuznia” Słopnice oraz OP „Wilk”, czuwali na Ćwilinie jeszcze: 17 marca oraz 4-7 i 12-15 kwietnia 1944 r. Zrzutowisko pełniło rolę zapasową. To znaczy, że za każdym razem samolot lecący z włoskiej bazy w Brindisi, kierował się na placówkę położoną zazwyczaj na obszarze centralnej Polski². Ćwilin zaś stanowił jedną z górskich alternatyw, gdyby docelowa placówka nie była w stanie przyjąć zrzutu. Np. ze względu na złe warunki pogodowe bądź zagrożenie.

Głód, cebula i mgła

Jeszcze w drugiej połowie 1943 r. na pierwsze zrzutowiska wyznaczono kilka „koszy” w rejonie Koniny, na których jednak zrzuty nie doszły do skutku. Przygotowania oraz przebieg zrzutów na Ćwilinie relacjonował w swoich wspomnieniach ówczesny komendant Obwodu AK Limanowa, kpt. Julian Krzewicki „Filip”. [...] Następne zrzuty miały się odbywać na szczycie góry Ćwilin nad Dobrą. W Dobrej kwaterowały oddziały niemieckie, stąd trzeba było zachować dużą ostrożność. Cały dzień żołnierze siedzieli w świetlicy w Jurkowie i dopiero w nocy maszerowali na Ćwilin. Trzykrotnie chodziliśmy na szczyt, bezskutecznie. Raz, tuż przed zrzutem, wystąpiła niezwykle gęsta mgła – tak, że tylko mogliśmy usłyszeć lecący nad nami



Członkowie Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznych 1 PSP AK, w czasie manewrów na Ćwilinie, lato 2014 r. Fot. arch. P. Bukowiec

samolot [...] ³. Charakterystyczną mgłą zapamiętał jeden z żołnierzy, Tadeusz Czech „Wicek”, który opisał przebieg całej akcji: [...] Na drodze – szosie nie było śniegu, na polach leżał jeszcze. Im było wyżej, tym było więcej śniegu. Początkowo szło się nieźle. Śnieg był zleżały, twardy [...]. Weszliśmy na szczyt już po ciemku. Na zasypanych śniegiem polanach stały bacówki. Tu miał odbyć się zrzut materiałów wojennych z baz amerykańskich w Brindisi. Czekając na nadlecenie samolotu, siedzieliśmy w jednej z bacówek, do której miano znosić zasobniki [...]. Przy rozpalonym na środku izby ognisku grzaaliśmy się, siedząc w koło [...]. Z nudów śpiewaliśmy pieśni ludowe i żołnierskie [...]. Siedzieli tu i przychodzili ludzie z różnych placówek. Przyszedł z kimś ruski żołnierz, uciekinier z niewoli, siedział z innymi na ławie. Żadnym językiem nie można było się z nim zgadać [...]. Długo się czekało na wyznaczoną godzinę zrzutu tym bardziej, że byliśmy niemożliwie głodni. Nie widać było, żeby ktoś ruszał ustami [...]. Miałem dość dużą cebulę. Jako witaminowy dodatek do chleba ze słoniną była doskonała, zastępowała musztardę. Często wałem „Hansa”, [Jan Szewczyk – przyp. P.B.] odmówił. Ugryzłem sam. Piekąca, nie da się jej samej zjeść. Przelknąłem, wzmógł się głód. Niedojedzoną schowałem i obiecałem sobie nigdy nie jeść samej, surowej cebuli. – Wszyscy na stanowiska! – podało rozkaz. Ochrona zrzutowiska gdzieś

daleko, szerokim kręgiem otoczyła Ćwilin. Nawet podobno w promieniu kilku kilometrów. Tu na polanie rozłożyli się chłopcy z latarkami ułożonymi wg stron świata i kierunku wiatru [...]. Zaczęła napływać mgła. Tak gęsta, że nie było widać na kroków parę [...]. Tymczasem w nasze wyczulone uszy uderzył dźwięk daleki, cichy. Dudniły motory. To nadciągały samoloty. Dudniały coraz silniej, aż zbliżyły się do nas. Krążyły nad nami, a my przeklinaliśmy mgłę [...] ⁴. Wydawało się, że oczekiwania żołnierzy zostaną nagrodzone a szczęście dopisze, jednak mgła nie raz spłatała figła czekającym na zrzut. [...] W nocy z 14 na 15 kwietnia 1944 r., po północy, nad placówką pojawił się samolot Halifax HR-671 „R”, załadowany 9 zasobnikami i 12 paczkami, pilotowany przez Australijczyka F/S Blattmana. Pierwotnym celem pilota była placówka w rejonie Wiślicy, ale z racji braku sygnału rozpoznawczego pilot udał się na zapasowe zrzutowisko „Sokół” [Ćwilin – przyp. P.B.]. Tam również nie zauważył sygnałów świetlnych. Do kwietniowego zrzutu nie doszło [...] ⁵. Po ostatnim terminie zrzutu w kwietniu, „Sokół” już więcej nie pojawił się jako placówka zrzutowa w dokumentacji alianckich zrzutowych operacji.

„Pamiętka” ze zrzutów na Ćwilinie

Kolejną interesującą relacją po pamiętnych „zrzutowych” wyprawach na Ćwilin pozostawił ówczesny zastępca komendanta Obwodu AK Limanowa, komendant BCh, por. Julian Dutka „Jaworz”, „Krzemień”: [...] Wyprawę na Ćwilin w ciężkich warunkach zimowych i ogromnych opadach śniegu przypłaciłem ostrym zapaleniem płuc [...] ⁶. Dowodem na to jest spis żołnierzy Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich leczonych od 1 lutego 1944 r. do 31 grudnia 1944 r. w improwizowanych szpitalikach w Wilczycach i na Kiczni.

Pozostaje pytanie: dlaczego na zrzutowisko wyznaczono tak wysoki szczyt jak Ćwilin? Warto nadmienić, że alianccy piloci latali z wyłączeniem wszelkich przyrządów nawigacyjnych, które mogły ich narazić na ostrzał artyleryjski wroga lub towarzystwo niemieckich, nocnych myśliwców. Samoloty zazwyczaj pokonując Tatry, kierowane były na Gorce i dalej nad Beskidem Wyspowym w kierunku koryta Wisły. Stąd Ćwilin, dosłownie

„leżał” na trasach przelotów. To co nie udało w kwietniu, powiodło się w lipcu 1944 r. W Słopnicach, na Dzielcu, k. Mogielicy. Wówczas dokonano długo oczekiwanego zrzutu. Jeżeli ktoś z czytelników będzie miał okazję wędrować na Ćwilin, to proszę zrobić dłuższą przeprawę na polanie Michurowej. Podziwiając rozległą panoramę, proszę rozejrzeć się w kierunku północnym i południowym.

Tak jak kiedyś spoglądali chłopcy z lasu oczekujący na zrzut.

¹ W meldunkach Obwođu AK Limanowa z 1944 r., literą „K” oznaczano udawanie się w wyznaczonym terminie i czasie na akcję „kosz”, czyli czuwanie na zrzutowisku.

² Pisząc umownie „centralnej Polski”, chodziło oczywiście o ówczesny obszar Generalnego Gubernatorstwa, zarządzanego przez okupacyjne władze niemieckie III Rzeszy.

³ J. Krzewicki, *W służbie ojczyzny – wspomnienia komendanta*, [w:] *Okruchy wspomnień z lat walki i martyrologii AK*, Kraków 1997, nr 23, s.35.

⁴ T. L. Czech „Wicek”, *Tym groźniejszy, że zdecydowany zginąć*, Stary Sącz 1989 r., s. 115-116.

⁵ K. Bieniecki, *Lotnicze wsparcie Armii Krajowej*, Kraków 2005, s.139.

⁶ Relacja por. Juliana Dutki „Jaworz”, „Krzemień”. Maszynopis w zbiorach autora.

STOWARZYSZENIE ZWIĄZEK LIMANOWIAN

Organizacja Pożytku Publicznego nr 0000032776

Limanowa ul. Rynek 3/7 NIP 737-174-65-88 Regon 490828860

Konto: Bank Spółdzielczy w Limanowej numer: 65 8804 0000 0000 0018 3804 0001

Szanowni Państwo

Stowarzyszenie ZWIĄZEK LIMANOWIAN wspomaga chore dzieci tak w Ich leczeniu jak i rehabilitacji jako ORGANIZACJA POŻYTKU PUBLICZNEGO. Nasze Stowarzyszenie jest upoważniona do otrzymywania 1% podatku.

Każda złotówka przekazana w formie 1% podatku jest przekazywana wskazanemu dziecku lub chorej osobie pełnoletniej. Dlatego zwracamy się z gorącą prośbą o wsparcie chorych osób pieniędzmi wykazanymi w podatkach za rok 2016.

Nasz numer OPP to: 0000 032 776

*Przewodniczący Stowarzyszenia
Związek Limanowian
Marek Czeczotka*



WIOLETA KULMA

Zakład Pogrzebowy CATALEIA



- wypłacamy zasiłek ZUS/KRUS w 15min
- własna chłodnia, kaplica
- trumny, wieńce, klepsydry, itp.

czynne 24h/7 dni
tel. 669-994-088

Limanowa, ul. Piłsudskiego - przystanek szpital
Nawojowa, ul. Krynicka 7
Nowy Sącz, ul. Nawojowska 45

www.kulma-pogrzeby.pl



Administracja prosektorium przy Szpitalu Powiatowym
w Limanowej, tel. 665-988-123



**BANK SPÓŁDZIELCZY
W LIMANOWEJ**

Weź Wygodny **KREDYT** **NA SZCZĘŚCIE**



Tylko teraz oprocentowanie kredytu
4,99%¹ lub 5,49%²

1. Stałe oprocentowanie w całym okresie trwania umowy kredytowej
2. Niska prowizja za udzielenie kredytu
3. Ubezpieczenie w dwóch wariantach
4. Okres kredytowania - do 60 miesięcy
5. Maksymalna kwota kredytu - nawet do 100 000 zł
6. Na dowolny cel – sam decydujesz na co przeznaczysz pieniądze
7. Raty dopasowane do indywidualnych możliwości
8. Elastyczny termin spłaty rat
9. Brak opłat za wcześniejszą spłatę kredytu

PROMOCJA OGRANICZONA CZASOWO

1. Przykład reprezentatywny dla kredytu Bezpieczna Gotówka z rozszerzonym pakietem ubezpieczeń dla okresu 36 miesięcy:

• RRSO dla reprezentatywnego przykładu wyliczonego na dzień 10.01.2017r. z rozszerzonym pakietem ubezpieczeń, wynosi 14,83% - przy następujących założeniach: całkowita kwota kredytu 10 000 zł spłacana w 36 miesięcznych ratach kapitałowo-odsetkowych: 35 rat po 299,63 zł i jedna rata 300,42 zł. Stopa oprocentowania kredytu stała w wysokości 4,99% w stosunku rocznym, koszty związane z ubezpieczeniem - płatnym jednorazowo „z góry”. Całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta wynosi 12 007,47 zł, w tym: całkowita kwota kredytu – 10 000 zł, całkowity koszt kredytu – 2 007,47 zł, na który składają się: odsetki – 787,47 zł, prowizja za udzielenie kredytu – 500 zł, składka ubezpieczeniowa – 720 zł oraz opłata przygotowawcza – 0 zł. Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks Cywilny.

2. Przykład reprezentatywny dla kredytu Bezpieczna Gotówka z podstawowym pakietem ubezpieczeń dla okresu 36 miesięcy:

• RRSO dla reprezentatywnego przykładu wyliczonego na dzień 10.01.2017r. z podstawowym pakietem ubezpieczeń, wynosi 13,03% - przy następujących założeniach: całkowita kwota kredytu 10 000 zł spłacana w 36 miesięcznych ratach kapitałowo-odsetkowych: 35 rat po 301,88 zł i jedna rata 302,62 zł. Stopa oprocentowania kredytu stała w wysokości 5,49% w stosunku rocznym, koszty związane z ubezpieczeniem - płatnym jednorazowo „z góry”. Całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta wynosi 11 818,42 zł, w tym: całkowita kwota kredytu – 10 000 zł, całkowity koszt kredytu – 1 818,42 zł, na który składają się: odsetki – 868,42 zł, prowizja za udzielenie kredytu – 500 zł, składka ubezpieczeniowa – 450 zł oraz opłata przygotowawcza – 0 zł. Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks Cywilny.

Weź **WYGODNIE** w najbliższej placówce Banku

Szczegóły na www.bs.limanowa.pl 

ROCK WOOL PLUS
4⁵⁰
zł/m²



Rockmin Plus
gr. 5 cm, $\lambda = 0,037$

17⁹⁰
zł/m²



TopRock Super
gr. 15 cm, $\lambda = 0,035$



ROCKWOOL
NIEPALNE IZOLACJE

ZABEZPIECZAMY ZEWNĄTRZ
KREUJEMY WEWNĄTRZ

OSB Kronopol gr. 18 mm
49,90 zł /szt.



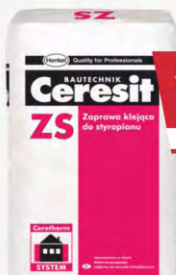
SWISS KRONO

15⁵⁰
zł/szt.

Płyta GK Knauf
2600 x 1200

KNAUF

*Przy zakupie 100 m² poddasza
FOLIA PAROIZOLACYJNA GRATIS



13⁹⁹
zł/25 kg

Zaprawa klejąca ZS
do styropianu



17⁹⁹
zł/25 kg

Zaprawa klejąca ZU
do styropianu i wykonywania
warstwy zbrojonej

Ceresit

